ROCZNIK I. W LUTYM 1906. ZESZYT I.

TREŚĆ.

ŚWIATOWIT

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE
ORAZ
SPRAWOM SPOŁECZNYM

WYDAWANY STARANIEM MŁODZIEŻY POLSKIEJ

ABONAMENT
kwartalny w Krakowie 80 h, na prowincyi 90 hal.

Zeszyt pojedynczy w Krakowie 30 hal., na prowincyi 34 hal.

Skład główny w Księgarni D. E. Friedleina w Krakowie.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Szpitalna 7, II p.

Rękopisów nie zwraca się.

DO CZYTELNIKÓW!

„Miesięcznik dla Młodzieży“ zmienił z dniem 15-go stycznia 1906 r. swój dotychczasowy tytuł na „Światowit“, jako lepiej odpowiadający treści i tendencyi czasopisma. „Światowit“ pozostanie wiernym celom i zadaniu, jakie wytknął sobie „Miesięcznik dla Młodzieży“ i będzie w dalszym ciągu dążyć do ich urzeczywistnienia.

Cena pisma pozostanie niezmienioną. — Wprawdzie „Miesięcznik dla Młodzieży“ ogłosił wydanym w grudniu r. z. prospektem zniżenie cen, ale nie może ono być uskutecznionem ze względu na to, że z dniem 1-go stycznia b. r. nastąpiło znaczne podwyższenie cen drukarskich.

Redakcya i Administracya
«Światowita».

POBÓG.

ZE SZKOLNYCH ŚWIATEŁ I CIENI.

Przeżywamy tak ciekawe chwile i sami tak jesteśmy związani z obecnym kierunkiem dążeń świata, jak kiedyśmy stali na przełomie dziejowym, zdobywając się na wiekopomny akt Konstytucyi Trzeciego Maja.

Hamletowe „być albo nie być“ jak wówczas, tak i dzisiaj powinno jaśnieć nam przewodnią w życiu!

Jak „być“!?

W roku 1791 stanął naród wobec zupełnej wewnętrznej reorganizacyi i zdumionemu światu pokazał, że przy chęciach i pracy dojść można do podniesienia się moralnego i fizycznego, a choć fatum ciążące nad nami, złe duchy narodu strąciły nas w otchłań politycznego niebytu, pozostał nam ów ruch reformacyjny jako *conditio sine qua non* narodowego istnienia.

Niestety owo staropolskie: „Rzeczpospolita nierządem stoi“, zmieniło się dziś na stańczykowskie (z „Wesela“ akt II.):

„Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
hasaj w tłumie.
Mąć tę narodową kadź,
serce truj, duszę trać!“

A jeśli kiedy, to dziś wprowadzenie w czyn słów poety staje się narodową zbrodnią, widmem naszej małoduszności, niedorosłości do dziejowego zadania.

Dziś trzeba wrytem mieć w serce owo Juliuszowe:

„Na Termopilach bez złotego pasa,
bez czerwonego leży trup kontusza,
ale jest nagi trup Leonidasa,
ale jest w nagim ciele, piękna dusza!“

OD REDAKCYI.

Rzucając dnia dzisiejszego pierwszy zeszyt nowego czasopisma, wydawanego staraniem i siłami młodzieży, chce Redakcya przemówić słów kilka o jego celu i zadaniu.

Na wstępie musimy się zastrzedz, że wydawnictwo nasze powstało nie dla zaspokojenia ambicyi kilku jednostek, co, nawiasem mówiąc, zdarza się dość często, lecz jest wynikiem bacznej obserwacyi rozwinięcia umysłowego naszej młodzieży, pobierającej t. zw. średnie wykształcenie.

W rozwoju umysłowej inteligencyi odgrywa nader ważną rolę znajomość i zajmowanie się literaturą. Zdawałoby się, że w społeczeństwie, w którem twórczość literacka tak świetne osiągła rezultaty, młodzież gorąco popiera i zajmuje się ruchem literackim. Jednak z bólem musimy stwierdzić, że coś podobnego spotykamy bardzo rzadko, częściej natomiast zupełny brak najprymitywniejszej kultury umysłowej, a nawet, co gorsza, ignorancyę. My stajemy do walki z tem złem pierwsi, a skoro społeczeństwo z równie obojętnem okiem spogląda na artyzm, stajemy z hasłem „młodzież sobie“. Koledzy! literaturze, a zwłaszcza naszej, nie należy się ignorancya i pogarda, ale najwyższa cześć i umiłowanie, bo wspomnijmy tylko, kto w chwilach, kiedy grom za gromem padał w nasz naród, był

tym wężem miedzianym, w którego wpatrzeni, nie straciliśmy ducha, ale do dziś dnia mimo burz, które nami miotają, tkwimy silnie w ojczystej ziemi, nabierając z dniem każdym więcej hartu. Spełniając ten narodowy obowiązek, spełniamy zarazem i drugi, bo rozwijamy horyzont myśli, poznajemy prądy, które w danem społeczeństwie i chwili panują.

Koledzy! to nie są mrzonki, ale sprawa aktualna, starajcież się ją zrozumieć, a poznacie naszą troskę i przyjdziecie w pomoc zadaniu. Nie wyrzekajcie, że dzisiejsza literatura niezrozumiała i niedostępna, ale wniknijcie w nią, a poznacie jej prostotę!

Redakcya dołoży wszelkich starań, aby Wam w tem dopomódz, abyście poznali te skarby twórczości nietylko polskiej, ale i zagranicznej, abyście kiedyś wykorzenili dzisiejsze błędne mniemania.

Obok literatury zajmiemy się także sztuką i twórczością na polu muzyki, bo sprawy te po pierwsze często wiążą się z literaturą, a po drugie każdy inteligentny człowiek znać i popierać je powinien. Również czujnem okiem śledzić będziemy bieg spraw społecznych, w których dzisiaj my Polacy przedewszystkiem stoimy na pierwszem miejscu, a w ważniejszych chwilach podzielimy się z nimi i z Szan. Czytelnikami.

Niska cena naszego pisma pozwala nam tuszyć, że rozejdzie się ono w najszerszych kołach Młodzieży i że poprze ona starania Redakcyi.

S. O.



BRONISŁAW SZCZERSKI

O „NIEBOSKIEJ KOMEDYI“ I „NIEDOKOŃCZONYM POEMACIE“.

P. Radcy Tomaszowi Sołtysikowi w dowód czci i poważania poświęcam tę pierwszą pracę.

Krasiński w dwudziestym pierwszym roku życia pisze „Nieboską Komedyę“!

W dwudziestym pierwszym roku snuje dramat, którego osią jest Europa, a obwodem ludzkość, dziejowy tan.

Nie chodzi mi o to jak Krasiński pisał, ale dlaczego pisał i co pisał?! Co to jest Nieboska komedya?!

Dlaczego pisał?

Bo nie mógł milczeć, nie mógł cierpieć, pogrążywszy się li tylko w zadumie nad pędzącym ku zawrotom planetą. Chcial wstrząsnąć podwalinami starego i nowowstającego świata, chcial zbudzić tytanów ludzkości, pokazać im w wizyonerskich rzutach to, co było dotąd świata zakałą, kulą u nogi

i to, co idąc do odrodzenia przez krew, pożogę i mord, na końcu drogi swej znajdowało Nicość!!

Wziął krzyż w rękę i na jednej jego krzyżownicy wyrył: „za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie i myśli swych, potępion jesteś na wieki“, na drugiej: „za to, żeś zapuszczał jad w dziecko, za to żeś straszny siłą rozumu zaparł się Boga i szedł do wolności przez mord, żeś pogardzał narzędziem rąk swoich, wielkim byłeś przez czas lub pół czasu, ale potępion wobec Boga i wkrótce i tu na ziemi ślad twój odnalezionym nie będzie, a sam u celu rzekomego swojego zwycięstwa ujrzysz potęgę zbudowaną mocą myśli swej w pyle, skrwawionej głowy podnieść nie mogącą ku Niebu“.

Wziął krzyż i stawia go przed oczy światu, stawia swemu narodowi jako straszliwe *Memento* i otaczając go koroną z piorunów, woła do błąkającej się w tumanach mgły ludzkości: „miej serce i patrzaj w serce, bo inaczej zdruzgocze cię Bóg!“.

I w końcu dramatu jak akord targający wnętrzem duszy, rzuca w świata odmęty okrzyk Juliana Apostaty: *Galileae vicisti.* Przez miłość do odrodzenia Życia.

To jest wytyczna główna, na której młodzieniec snuje pieśń nieprzegraną i nieskończoną do dzisiaj...

Są akordy co nie milkną nigdy.

* * *

Człowiek pod nadmiarem nieszczęścia, wyrzuciwszy z siebie ból płaczem, ukaja się i w czasie zapomina...

Ale i psychologia znajduje na drodze swojej dusze co mimo krzyku boleści, trawią w sobie serdeczną ranę, odnawiającą się za każdem otworzeniem oczu, póki nie zejdą w wieczysty sen.

Cierpię, bo kocham!

I tak cierpiał Krasiński, przeżuwał serdeczny ból i pisał „Niedokończony poemat.

Co to jest „Niedokończony poemat“?

To na sejmie narodów Sąd Boga i wyrok na ideę, której na imię przez Zniszczenie do Wszechludzkości — to w Podziemiach weneckich wzbierająca lawa, co z każdym obrotem ziemi wzdyma się, by wybuchnąć i zalać skorupę globu. A wśród tej lawy, na tym drgającym Czemś, co przeczuwa Krasiński, płanecie, młody hrabia Henryk rwący się do życia, wierzący we wszystko, co mu jego druh Aligier, człowiek co cierpiał za Miliony, do wie-

rzenia podaje i zasypiający pod jego opiekuńczem skrzydłem w przybytku Pana świata.

Przechodzę nad Snem, który odzwierciadla nam całą ohydę walczącej o byt ludzkości, potęgę złotego cielca, druzgoczącą stopą wszystko co mu stoi na drodze, odsłaniającą nikczemność prowodyrów mordu, własnej braci krew sprzedających, zwracam uwagę tylko na proroctwo Aligiera o kobiecie przyszłości, bo to jest podwaliną dramatu Maryi żony Henryka w „Nieboskiej“, kobiety, która, gdy stanie się kiedyś wcieleniem Miłości, Poezyi i Piękna, odrodzi czystością swej duszy tych, którym Siła na imię — a przechodzę tam, gdzie nerw dramatu zaczyna drgać, gdzie zaczyna się budzić Życie!!

Młody Henryk, marzyciel, fantasta — kocha... I Aligier przestraszył się; on wie do czego może prowadzić ta miłość, że każe ona zapomnieć mu o słowach Mistrza, o powołaniu, do jakiego on, któremu Stwórca duszę Henryka powierzył, przeznacza go.

Henryk kocha jedno dzieło Stwórcy, a on, Aligier, całą potęgą swego wpływu zwracał go myślą ku Stwórcy, ku ukochaniu ludzkości. On chciał, by młody hrabia, dotykając ran narodu swego, szedł w ciemny bór, w górę, wśród mgły skarb krzyżowy — Narodową ideę — dźwigając i podtrzymując, by zaś nie upadł druzgocząc się wśród wirchów i jarów... Ale zrozumiał zarazem, że temu fantaście należy pozwolić włożyć dłoń w krwawiący bok Narodowej wolności, trzeba ukazać mu Przeszłość, Teraźniejszość, rzucić nieco promieni na Przyszłość, podnieść poniekąd na wyżyny ducha swojego, otrząsnąć z złudzeń i mrzonek młodości i w tym ogniu ludzkości wyhartować i wyarcydziełować serce jego tak, by opancerzone Miłością Prawdy, szło za Jej tylko rydwanem!

„Boć dotąd jeden tylko zrozumiał ciebie z milionów Panie, aleć i On Tobą był przecie!“.

A więc chodź ze mną tam w głębię tajemnic, naucz się patrzyć oczyma ducha, słuchaj jak Wszechświat do ciebie przemawia, łów tony całej przebytej drogi ludzkiej i wiąż je w wieniec cierniowy, zrozum jakie cię czeka Powołanie, czem jest wobec niego twe własne szczęście... chodź na Sejm narodów!!

I znów zaznaczam z widzeń Henryka tylko to, co jest istotą filozofii Krasińskiego, potrzebnej nam do zrozumienia psychologii wybuchu Pankracego. Oto, że myśl o Bogu, o podniesieniu się do Niego ludzkości, przewijała się od samego początku istnienia człowieka, kształtowała się coraz nabierając tęgości, przechodziła najbardziej już do Istoty swej zbliżone fazy

teoryi Platońskiej, aż skrystalizowała się w Chrześcijaństwie. I Chrześcijanizm rósł sam ciałem na ciele, lecz że nie dopełniło się jeszcze Słowo Pańskie i Duch św. nie wlał się w ziemię trzecim wlewem swym, zatraciło czystość myśli, rozdrobiło się znów, jak w pogańskiej erze na tysiące tępiących się odłamków. I kielich niespełniony życia, ten kielich, który ma jak Chrystus do dna wychylić on Naród, Mesyasz narodów, przechodzi z rąk do rąk, od Templaryuszów do Różokrzyżowców, a w chwili, gdy ma przyjść w ręce Polan, by ten Archanioł narodów — Polska, przez trzech karłów trzema przebita mieczami: „z serc niosąc ofiarę, od łez zrudziałą krwią przepełnił czarę“ — chwyta przejmując i wypaczając ideę, jak owi przedtem czynili, Pankracy, by wieki przerazić i rozwój ludzkości cofnąć wstecz — Krasiński wierzy, że jak Napoleon był wykwitem czasów, owej wolności krwawej, tak wstanie Napoleon dusz, który będzie Mesyaszem ludzkości cierpiącej.

I aby pokazać przez co dążyć należy do tego posłannictwa i jacy winni być jego Apostołowie, pisze „Podziemia weneckie“ i rozwija z wtórą siłą to, co raz już dał nam w „Nieboskiej“.

* *
*

I zaczyna się właściwy dramat dziejowy zawierający się w łamach „Niedokończonego poematu“, części ostatniej „Podziemi weneckich“ i „Nieboskiej“ części trzeciej, czwartej i piątej, zaczyna się słowami, a raczej rzekłbym refleksyą myśli Aligiera, — bo ja sądzę, że Chór niewidzialny, to ten głos ludzki wewnętrzny — „kogo przyprowadzasz do zboru, do miejsca gdzie cały świat się zebrał, by pracować nad przyspieszeniem Odrodzenia, wszystkie narody czekające w smutku i ciemności na owego zesłanego z Pana-Mesyasza ludzkości.

I oto każdy z przewodników chóru ziemskiego obiecuje z łona swego Odrodzenie, witając go słowami Nadziei, każąc mu ufać swej żywotnej sile, a z tych pełnych życia obietnic jednej tylko Polsce wyrywa się skarga, skarga tem donioślejsza, że w niej mieści się jądro obietnicy, bo ten zdeptany Trup rzuca mu w pierś słowa: „Wiecznie miej się do czynu jak Żywy, kochaj braci jak Żywy, ufając w Boga Żywych!“

Na tle zgromadzonego tłumu widnieje w białą przybrany togę, pasterz tych zebranych owiec, władca dusz, namiestnik Boga. I z ust jego padają słowa przepowiedni stwierdzajace obietnice króla narodów słowiańskich, słowa które nie bez przyczyny kieruje Krasiński do młodego Henryka, Polaka: „Mamci wam wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie, ale gdy przyjdzie

On, Duch Prawdy, w prowadzi was we wszelką Prawdę. On Mię uwielbi bo z Mego weźmie i opowie wam." — A więc jeżeli z Mego weźmie, to musi cierpieć jak Ja, musi być oplwany i umęczony jak Ja, ale musi też kochać jak Ja i dlatego, gdy idea przewrotu i zła chce wyjść na świat Boży, Aligier z rozpotartemi ramiony staje na środku drogi jej i woła: „zatrzymaj się obłąkany duchu nie bądź czwartym katem dodanym do tamtych trzech, nie pchaj Narodu w bezdeń, nie tędy, nie tędy droga!" I jak dotąd, t. j. do wejścia Hr. Henryka na widownię dziejów, żaden naród nie uwielbił Chrystusa, żaden nie podniósł się ku lasce jego, żaden nie wzniósł się doń na skrzydłach woli swej, dotąd wre między każdą cząstką walka, przedawniałość prawowitością, wszelka nadzieja i natchnienie buntem, więc konanie ludzkości trwać będzie póty, póki człowieczeństwo nie zmartwychwstanie ze siebie samego i póki każdy trud w posłannictwo, każdy urząd w kapłaństwo się nie zamieni.

Ludzkość, ten Chrystus we wszystkich Narodach nie ma dotąd jednakich ołtarzy, jednodymnych kadzideł ofiary, nie ma zestrzelonych w jedną barwę, poszczególnych blasków tęczy. I choć każdy z pojedynczych barwików, każdy Naród dąży do Wolności, to jednak błąka się tylko w kole zaczarowanem pragnień, bo „ten tylko wolność osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydziełował, że sam w sobie spokój ma a z drugimi Miłość."

I Krasiński wkłada te słowa w usta Prezesa, a kieruje je znów do młodej latorośli Polskiej? Dlaczego?! Bo oto poeta wierzy silnie w posłannictwo Polski, wierzy, że ona będzie Winkelriedem Narodów, więc chce nam wyryć je piętnem niestartem, zawiesić jako ryngraf na duszy, postawić w każdej życia dobie przed oczy, by jaśniały, jak pierwszym wyznawcom Nazareńczyka jaśniały pochodnie Nerona, bo wie, że te wielkie słowa „w sobie spokój ma", dotąd u nas tylko paradoksem życiowym, Miłość, bez której Bóg choć wszechmocny światów by nie stworzył, pustą frazą na ustach wielu prowodyrów, kopiących, nurtujących jak on, Pankracy, naród, by z jego purpury dla siebie jak najobszerniejszy uszyć płaszcz. Tem słowem Krasiński woła do nas, bo niejako przeczuwa, że na nie odezwie się kiedyś z mrocznego zakątka człek, któremu na imię Niszczyciel, a którego idea i wiara przeciwna wierze i nauce namiestnika po-piotrowego, wzniesie pochodnią uzbrojoną dłoń, by przytchnąć zarzewie do prochu i z krzykiem: „Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów, nie dam tego potomka arystokratów lackich omamiać ideami, słabość niosącymi ducha, świat zgniły, szlachta zgniła, być albo nie być „niech żyje Wolność i lud, a niech ginie pół Europy" wysadzić siłą nienawiści oporne światów chóry w powietrze.

Komu nie na imię Równość i Lud, temu śmierć niech będzie ukojeniem, przez mord, pożogę i krew dążym do odrodzenia świata, a dopiero, gdy zgliszcza i strugi łez, dymy obejmą ziemię, Miłość będzie możnością na tym globie!

Oto wśród jakiego huraganu pojęć torował drogę Aligier młodemu Henrykowi do Prawdy. Pankracy wystąpił; Aligier stanął na mównicy. „Ty wzywasz mię na miecze, ja wyzwę na serca". I trafił Pankracego w bolączkę, bo mu ukazał nicość jego trudów, bo mu przepowiedział siłą miłości zbrojny, zatratę zła przez zło — Henryk uratowany, przynajmniej na dzisiaj, dla Boga i Ojczyzny. Pankracy wybuchnął i odkrył całą niskość natury swej, ealą potworność środków. Przekleństwem obciążony wyszedł, pozbawiony ducha, myśli Bożych, wśród grzmiącego i posadami lochów wstrząsającego „Anathema" „broń mu wody, broń mu chleba" — wśród trzasku łamiących się gromnic, runął siłą wściekłości, nienawiści, rozumu, tego żelaznego ludzkiego rozumu, zbrojny na zatratę idei nieborodnych, na przedłużenie męki konania ludzkości, na własną wreszcie zatratę, by w chwili, gdy widzi się u szczytu potęgi stanąć w obliczu ducha Miłości i z pianą szaleństwa na ustach czuć gniotacą go dłoń do ziemi, skąd wziął moc swóją i skonać, jako Mane Fekel Fares dla tych, co zagubili z pamięci słowa Pańskie, „kto przeciwko Miłości Chrystusowej, ten wiedz o tem choćby zwyciężył ten zginie".

I oto „pierwsza Prawda", w którą wierzy Krasiński...

(C. d. n.).

* * *





POEZYE.

OG-IM.

(WYJĄTKI Z „WIZYI LISTOPADOWEJ“).

AKORD.

W zwycięstwo, w bój!
na trud, na znój!
O! czas Ci powstać, Młodzi!

Na wschodzie już
drżą błyski zórz:
to Słońce, Słońce wschodzi!

WEZWANIE.

Roznieććie życia płomienny szał:
niech bucha w szerz, niech strzela w zwyż!
Hej dobądź moc z spętanych ciał
Młodzieży! Słysz-już nadszedł czas-hej słysz!

Strugami cieknie Ojczyzny krew
i spokój znikł i błogość cisz,
bo w piersiach msty rozszalał gniew!
Młodzieży słysz-już nadszedł czas-hej słysz!

Ostatni dzień zbliża się już;
Młodzieży wstań i zbliż go, zbliż;
Skup w piersiach moc, i pęta skrusz
Młodzieży słysz-już nadszedł czas, hej słysz!

B. S.

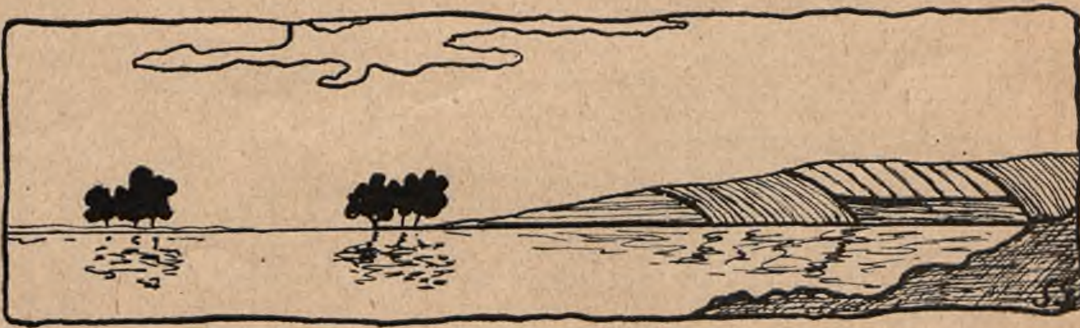
Na tych strunach nanizanych dusza moja drga...
(St. Wyspiański »Wyzwolenie«).

Chcę pieśni
chcę roztworzyć ducha mego
i na jego strunach
położyć dłonie
melodyę jestestwa całego
skrysztalić, i wygrać pieśń,
co ciałem wstrząsa
pieśń życia!

Chcę pić z jego puharu,
odrzucić, wyporać pleśń
w przejasnych kąpać się blaskach
i rzucić płonącą wić
w zamierzchu śpiący świat,
by na życiowy wiec
powołać ludy!

Niech tworzą, niech budują
niechaj wypalają duchy,
niechże w kolumny, w posągi bóstw
zaklną myśl,
co się wraz z krzykiem dzieciaka przewija
„Chcę żyć, chcę żyć, chcę żyć!

. . . .



B. SĘP.

JANEK.

Bębny warczały jak psy obskakujące żebraka, grały larum coraz silniej, coraz szybciej, tętniąc miarowo, to zlewając się w jeden łoskot, potężny, głuszący...

Fala jednakowo przybranych ludzi stała, jak czworokątna ściana wyciosana z granitu.

„Prezentuj broń!"

Dłonie zadrgały, muskuły wyprężyły się, ciała stężały, przez twarze zwrócone ku postaci małej o wielkiej głowie przebiegł skurcz, zastygł, oczy wpiły się, jak stal w ciało, w źrenicę jego i cały ten czarny głąb zdradzający dotąd ciągłem mrugnieniem życie, zda się zakamieniał zupełnie...

Warkot bębnów zesetniał i runął jak grom – raz, dwa, raz, dwa-dwa-dwa-raz...

Zdawało się, że ziemia się rozpęka a spazmy utajonych wewnętrznych drgnień wydobyły się siłą w błekity i wstrząsają powietrzem

raz-raz-dwa-dwa-

Generał szedł pomału, obok kolumny, wyprężonej tak, że zdawała się wyciągać ze stawów kości, szedł zatapiając zimne spojrzenia w koletach, jakby chciał weżreć się w głąb duszy, prześlizgując się wzrokiem po twarzach bez myśli, bez wyrazu, bo cała ta potęga człowiecza,ześrodkowała się w jednem „nie drgnąć, nie drgnąć, nie drgnąć."

Głowy zwracały się za jego szlifami i w miarę jak oddalał się lekkie westchnienie podniosło piersi, jak podnosi i prostuje się krzewina, gdy wicher potężną dłonią przygnie ją do ziemi.

Przeszedł! ach przeszedł...

Źrenice oficerów biegły wgłąb kolumny, gdzie tylko słyszeć się dawał lekki szept, tu i ówdzie wachmistrz, lub sierżant, ujrzawszy zaciśnięte zęby przełożonego, prał kolbą karabinu w żebra żołdaka, rzucając przez zespojone wargi: „Milczeć ścierwa.“

Skowyt bębnów nikł, malał, tłumił się, milkł w kolumnach przejrzanych, odzywał się coraz dalej, coraz głębiej warczał, jak oddalająca się chmura gradowa, wreszcie rymnął całym ciężarem w niebiosa, jak ostatni krzyk bolesny, zatargał aż do szpiku nerwami i... zcichł.

„Baczność!!“

Chrzęst broni przebiegł jak iskra wzdłuż szeregów, dłonie posunęły się wzdłuż bioder, zdało się, że jakaś piła zgrzytnęła, potrząsła olbrzymem i zamarła.

Chrzanowski wyszedł na środek placu...

W tych, do automatycznych ruchów przyzwyczajonych, postaciach poczęła kiełkować jakaś myśl, podnosić niecierpliwością piersi, rozlewać się w szepcie:

„Co to, co to, co to będzie?“

I znów wzrok oficerów zatonął w głębiach rozrojonego mrowiska czap i kit i znów pod zmarszczeniem brwi zlodowaciało wszystko.

Naraz z rozdartej kolumny wystąpił, jakby siłą wypchnięty, dwudziestodwu może letni chłopak w mundurze podporucznika ułanów, blady, wpół, jakby po bezsennej nocy, przytomny; ruszył dwa kroki i stanął w obliczu wojska.

Twarz generała zpierzchła, zczerniała, coś, jakby ból, zdławiło mu źrenice uciekłe w głąb, bezwąsa szczęka poruszyła się raz i drugi, zdusiła cisnące się słowa. Zdało się, że palce ściągające się po papier drgały, że człowiek ten całą siłą woli zabija w sobie jakieś niezwykłe mu i dlatego wichrem obejmujące go uczucie, że tłamsi je w piersi i potęgą spokoju chce pokryć rozrywający mu gardło żal.

„Janie Zasowski przystąp.“

Chłopak jakby żgnięty żelazem wyprostował się, mimowoli ściągnął rękę do czoła a niezmacawszy czapki machinalnie przesunął dłoń po skroni, jak człowiek budzący się i otrząsający z przykrego snu!

Generał skinął głową. — Audytor rozwinął akt. — Wśród wojska zamarło. Zakrzepł oddech, cisza zrobiła się taka, żeś słyszał niepokojem bijące serca ściśnięte złowieszczem przeczuciem.

„Janie Zasowski w obliczu całego wojska, w obliczu sztabu i generalizacyi oraz dowodzącego dywizyą a twego przełożonego...“ i głos rozchodził się, w miarę przypływu słów potężniał, brzmiał, wpadał w szeregi, odbijał się o każde piersi, wnikał tam jak dźwięk fałszywy, okrutny tak, że ci ludzie daliby lata życia, by nie być tu, nie stać murem, nie słyszeć, nie słyszeć... Chłopak czuł na sobie te wszystkie spojrzenia, ciężyły mu ołowiem na duszy, jak sztylet wnikały do mózgu, ale zarazem rozpalały krew, rozbudzały młodzieńczą dumą, żgały jego szalony upór, więc podniósł głowę i wyprostowany, zacięty wpił się w czarną ścianę czworoboku, rzekłbyś, że wryć się chciał mu w duszę stygmatem, żreć im wspomnieniem orlej swej twarzy sumienie.

Audytor czytał, ale w głowie Janka słowa kłębiły się w chaotycznym zamęcie, jedne wpadały na drugie, prześcigały się i żadne nie mogły pobudzić mózgu do pracy! Czuł, że mu jest okropnie źle, że głowa chwieje się jakoś, że jakby nie miał pod stopami ziemi, że otacza go jakaś stugłowa poczwara, co w mgle, szarudze nocnej idzie do niego, jak potworny, mackami obejmujący mu kadłub, klinem wszczepiający się w ciało stwór.

„Co to jest? poco on tutaj? co tu robi?! Acha naprzeciw niego stoi generał, widzi te wielkie źrenice dziecka wryte w swą twarz, widzi że śledzi on go jak upiór, tylko że tam w tej głębi drga coś jakby współczucie i ból... Dlaczego?!

Ach to pewnie ojciec, napewno ojciec... przyszedł... dotrzymał słowa... weźmie go... weźmie stąd... wywiezie za granicę, każe studyować filozofię... być uczonym... wielkim uczonym, podczas gdy tu krew...

Ojciec przecie taki prawowierny, taki spokojny, lojalny obywatel. Chłopak mimowoli się wstrząsnął!

I oto to wstrząśnienie udzieliło się wszystkim jakby siłą magnesu, bo:..

„z pośród bitwy, wśród najwięcej decydującego dla losu Ojczyzny momentu, zdarł konia, wbii mu w bok ostrogi, aż rumak jęknął i, według słów naocznych świadków obalając szeregi, jak wicher pomknął w ucieczce“... brzmiał spokojny, miarowy głos kapitana!

Ale Janek nie słyszał, widział tę chwilę, kiedy jak grom wśród spokojnej nocy wpadł do ich domu człowiek młody, siłą uczucia żyjący i rzucił piorun, pod którego uderzeniem zagotowało się wszystko.

„Warszawa... rewolucya... wygrana... wolność... niech żyje Chłopicki“!!

I strach rozszerzył mu źrenice, bo oto widział jak na dłoni, że ojciec

podniósł się z krzesła, by przypieczony żywem ogniem, z rozdętemi wściekłością nożdrzami, skurczoną twarzą, a z piersi wyrwał mu się niemal szczek:

„Milczeć błaznie“!!

A potem ta cisza, to obłąkane oblicze starego, przekrwione oczy, ten lęk matki zachukanej terroryzmem ojca i ten ruch dłoni wskazujący przybyłemu drzwi i to słowo, jak wściekły pies okrutne: „Precz“!

Kolos zbudził się, kolos zbudził się, a ten stary pogrzebał go już z wszelkimi należnymi mu honorami, ustroił się na stypę w paradny mundur, przywdział wstęgę, na której błyszczał chrest, chrest dawany „zasłużonym“. I w uszach Janka, zaledwie dosłyszalny, takiem zdumieniem przepojony rozlał się dźwięk, jak wyszedł wówczas z piersi Henryka: „Jakto, toś pan nie szlachcic“.

Ach to „szlachcic,“ „szlachcic“ brzmi jak brzęczenie szerszeni, skowyczy, wżera się jak wampir w krew i ssie... a ssie...

„Od chwili schwytania go, nie można było słowa wydobyć zeń, pomimo, że uniesiony niewczesną litością, generał Chrzanowski starał się wszelkimi sposobami pobudzić go do obrony. Zdeterminowany, zatwiardziały odpowiadał na wszystko przeczeniem głowy, lekceważąc sobie zapewne ideę...“ oskarzał go dalej akt zredagowany misterną ręką Skrzyneckiego, misternie wycyzelowany, boć chodziło przecie o przedstawienie występku żołnierza z dywizyi nienawistnego głównodowodzącemu, Chrzanowskiego, chodziło o upokorzenie dumnego i ambitnego na punkcie honoru panka, mającego więcej strategii w jednym palcu, niż dyktator w całym korpusie.

Vivat animus Poloniae!

Czego ten człowiek o spojrzeniu dziecka chce od niego, czego śledzi niemal każde skrzywienie ust, każdy skurcz muskułu. To spojrzenie prześladuje go, odwrócić nie może oczu, wszędzie spotyka je jak wzrok ojca, jak pamięć owej nocy, pełnej miesięcznych blasków rozlanych po szronem pokrytym już sadzie, tego cichego krzątania się, wyciągania i próbowania broni i tego wpadającego przez pół otwarte okno, hen gdzieś z daleka śpiewu samotnego stróża wsi:

„Lepiej by ci Maryś było, lepiej w domu moim.“

A Janek czuł, że go łzy pieką, czuł się w tej chwili w domu swoim, zbierający broń, by wziąść ją z sobą w świat. Przenikał go chłód jesienny nocy, patrzał oparty o framugę okna na sad, stojący w światłości miesięcznej, niby szemrzący zżółkłymi liśćmi sad...

„Lepiej by ci Maryś było
lepiej w domu moim,
a tak każde w świat rzucone
jak kół w płocie stoim!“

Naraz zdało mu się, że ktoś wywrócił w drugim pokoju stołek. Przywarł więc do podłogi jak posąg... Słuchał!

Rzeczywiście, ktoś szedł do jego izby, jakby skradając się; lekko otworzył drzwi i struga światła oblała, zasłane dywanami, szablicami ściany.

— Na progu stał ojciec! Blady był jak chusta. Stał i patrzał podnosząc nad głowę świecę, bo blask raził mu oczy i szukał na pościeli jego. Naraz wzrok ich spotkał się. Stary zadrgał.

„Gdzie się wybierasz?“

Janek milczał.

„Słyszysz, gdzie się wybierasz?“

Nic!

„Błaźnie, nie rozumiesz o co cię się rodzic pyta. Gdzie idziesz i czemu się tłuczesz po nocy?...“

Głos mu drżał z tłumionej wściekłości, widać było, że ostatkiem sił panuje nad sobą.

Jankowi strach zjeżył włosy. Znał niepohamowaną wolę i niechęć starego do rewolucyi, nie chciał takiego spotkania, pamiętał cięgi brane od dzikiego satrapy za jedno słowo oporu, ale pamiętał i czarne, drogie oczy patrzące na niego i błagalnie proszące go: „Idź“.

— „Ojciec nie ma prawa... nie może... ja muszę, niech tato zechce zrozumieć muszę... tam przecie nasi... tam idzie o kraj... o nas... dziś może bitwa... a ja ojcze... nie mogę siedzieć tu... niech tato zechce zrozumieć... ja bałem się, wiedziałem, że ojciec... ale dziś... ale teraz nie mogę... ojcze...“

Staremu świeca latała w ręku, blask tańcował, pożoga płoszyła rozścielające się półcienie...

— „Tato jak Bóg na niebie nie mogę... Henryk... on... tysiące ich tam idzie... a ja... co ja... oczu nie podnieść, gdybym... niech ojciec pozwoli... wrócę... może generałem... nie wiem, ale ja będę się bił, czuje, że będę prał jak zwie...“

Naraz lichtarz pękł w ręce Zasowskiego i stary, zgięty jak dziki kot, jął iść ku synowi. Janek przywarł do ściany, uczuł dech ojca na twarzy i usłyszał szept przez zwarte wściekłością zęby:

„Śpiku, hołyszu, błaźnie, rozbierać się i do łóżka... ani mru, mru, bo ubiję!!“

Ale w chłopaku zawrzała krew, fala jej uderzyła mu do głowy.

„Sprzedawczykiem nie będę, ani zdrajcą. Nie chcę, by mi nazwiskiem dalej wykłuwano oczy, siedzieć w domu jak dzieciak nie myślę i ojciec mnie nie śmie...“

„A ty psie!...“

Ale już kula wypadła z dotychczasowego toru, Janek upił się własnemi słowy, więc skoro spostrzegł ruch chcącej go uderzyć ręki, schwycił za nią i gniotąc żelazną dłonią niemal krzyczeć jął jak nieprzytomny, lawiną wyrzucając słowa z piersi...

„Tak, nikt ci dotąd nie powiedział prawdy... wszyscy... i ja i matka siostry drżeli przed tobą... tak, wszędzie w okolicy widziałeś na drodze swojej zgięte karki. Ty! a wiesz pluli za tobą, gdyś przechodził i ja na to patrzałem i serce mi się darło z męki, alem musiał zaciskać zęby bom czuł, że mają racyę... mają! Ale przyszedł mój czas, nie chciałem ja... sam sobie przypisz winę. Tak nienawidzę cię i gardzę tobą. Rozumiesz gardzę i brzydzę się. I to ci zapowiadam, że jeśli mię nie puścisz, to klnę się na Pannę Najświętszą, tym ci pistoletem łeb roztrzaskam...

I pchnął starego z rozmachem, aż zwalił się na ziemię, wypadł przez drzwi, mignęło mu w oczach coś jakby matka, ludzie, zadrgał głos jakby płacz „Janku“ — znalazł się w sieni, wybiegł na ganek, w stajnie, wydarł razem z kawałem żłobu kółko, do którego koń był przywiązany i huknął na otrętwiałych parobków:

„Siodłać mi konia, psiawiary!“

Rozszalała się dusza szlachecka.

W chwilę czuł się na siodle, wolny jak ptak. Zdarł bachmata, przesadził z miejsca płot i wypadł jak wicher za bramę. Gdy odwrócił się, by ostatnim spojrzeniem, pożegnać dwór, spostrzegł rozpasanego wściekłością starego, jak prał parobka, krzycząc:

„Łapać go, ścigać, ubić kijami, ubić, psiakrew, ubić“.

Potem to wszystko zlało się w jakiś chaos, dom, stajnia, sad, wieś, łąki, droga, ten pęd szalony konia, świst w uszach powietrza i z tego natłoku myśli wyłonił się zamęt bitwy, straszny jak szamotanie się tonącego z falą, rozkolebany szczękiem broni, hukiem armat, grzechotem karabinów, dymem, dyszeniem rozwścieczonych piersi, graniem gardzieli, kwikiem końskim. „Jezu, Jezu...“ a wśród tego, jak błyskawica zajaśniała w pamięci jego twarz, upiorna

twarz, rozmachem uderzającej konnicy odwalona od kolumny moskiewskiej, wtłoczona na niego, twarz, co chwilę zamajaczyła mu przed oczami, twarz, w którą żgnął ostrzem szablicy, co na jego spadła piersi, bluzgocząc mu szlify krwią, by ledz za chwilę w tumulcie, w kurzu pod kopytami koni...

I tylko w piersi biło mu serce jak dzwon na trwogę i każdym kołatem wydzwaniało „Ojciec, ojciec, ojciec...“

A potem?...

I naraz zrozumiał! Ten krąg ludzi, żelaznymi skrętami luf obejmujący go, to sąd, sąd od Boga!

I po grzbiecie poczęły mu szeregami schodzić mroczki, zstępować na kark i skronie, przewijać się wśród włosów, wbijając do mózgu jedno krótkie „Śmierć“.

A właśnie generał Chrzanowski mówił, mówił bo tak każe obyczaj, bo kiedy chciał usunąć się od spełnienia go, Skrzynecki wzruszył ramionami, i rzekł: „Subordynacya generale“ — mówił, bo za dumny był, by się poniżać do prośby o zwolnienie, lecz głos jego łamał się, słowa więzły w gardle, zda się dźwięk ich nie licował z treścią, czuł, że raczej mówić powinien tak, jak na sądzie wojennym, raczej rzucić w te półotwarte usta wchłaniające każde jego słowo, to, co cisnął w oczy Skrzyneckiemu:

„Popełniacie panowie morderstwo“.

A Jankowi oczy poczęły zachodzić mgłą, coś siadło mu na piersi i darło za gardło, dzwoniło w uszach, jakaś zmora okrutna z twarzą ściągniętą skurczem śmiechu, przysłaniała mu skrzydłami świat i szczerząc ostatki zębów patrzyła w źrenice, idąc coraz bliżej... coraz bliżej...

Naraz w tej szarudze coś zaskowyczało — rozdarło powietrze szalonym, posępnym grzmotem i umilkło.

Chłopak uczuł, że pot występuje mu na skroń, a równocześnie czyjeś ręce wyciągają się ku niemu, ku ramionom, zobaczył oblicze blade, surowe, ze ściśniętymi wargami, nastrzępionemi prawie w jeden łuk brwiami i uczuł świdrujące spojrzenie, sięgające mu aż do trzew.

Werbel runął znów raz i drugi, urwał, a potem już bez przerwy brzmiał szalonym, jakby piekielnym taktem. Janek pamiętał, słyszał ten grom już raz, kiedyś, gdzieś... niedawno, dzień... może dwa... ach!...

„Degradowano wachmistrza za uderzenie w twarz przełożonego“.

I czyjeś palce w tej chwili nerwowo szarpnęły za epolety, zdarły i prasły niemi na ziemię.

„Fałsz, aa... fałsz, nie chcę, nie chcę, to nie prawda, kłamstwo, zrozumcie, wszystko co tu... kłamstwo, to nie... tak... to nie... ojciec... ja... nie... mógł... ojciec... ojciec...“ darło mu się do ust, rzęziło w płucach, zżerało mózg, tłoczyło się nazad w gardło, ale tylko twarz skurczyła mu się jak psia paszczęka, oczy uciekły w głąb, a z gardzieli wyszedł z pianą bełkot niezrozumiały, straszny, potworny...

Ujęto go pod ramię, prowadzono, ale on nie czuł nic, nic nie rozumiał, nie widział, że jedna ściana w czworoboku rozpadła się, jakby w nią piorun strzelił, że utworzyła ulicę, nie widział twarzy bladych, zębów zaciśniętych, poruszających się wąsisków, nie słyszał głuchego pomruku w szeregach: „Psiakrew, cholera, pioruny, taki młody, cholera jasna... żeby ich...“ nie słyszał jak szum ten zaczął obejmować coraz dalsze głębie, jak rósł, potężniał, by ryk zbliżającej się burzy i nie widział, jak generał Chrzanowski spostrzegłszy pieniące się, jak fala, kolumny, wspiął się na kształt ściągniętego wędzidłem rumaka, zolbrzymiał w jednej chwili, błysk stalowy przemknął mu w źrenicach i spazmatycznym, przenikliwym głosem krzyknął:

„Milczeć, subordynacya psiakrew!“

W jednej chwili nogi tych wojennych machin ściągnęły się k'sobie, usta zwarły i cisza objęła w ramiona szeregi.

A generał dyszał chwilę, ostygał, powoli zamierały mu rysy, prostowało się lice i znowu na środku stał mały człowiek o dużej głowie, upięty w mundur generalski.

Tymczasem Zasowski już stał, stał cichy zakrzepły, niemal już umarły. Wszystkie umysłowe władze odrętwiały, było mu wszystko jedno co znim zrobią, nie czuł już w sobie nic z człowieka...

Aa... słońce go razi, słońce takie jeszcze senne, jakby mrugające, otrząsające łzy z powiek, rozmiażdża mu blaskiem źrenice, brylanci się po jakimś stalowym wężu, prężącym się wprost niego, czerwieni gdzieś krąg czarny lasu, rozlewa się po łąkach, po olszynie, trawach, rosie, okopach, liściach... Ach, ktoś się zlitował, przysłonił mu oczy, nie wie czemu nie może ruszyć dłonią przykutą do boku, opiera się plecami o jakiś pień, dobrze mu tylko w głowie, jakby ktoś nożem czaszkę podważał, tępy ból, tylko mu się zdaje, gdy przymknie powieki, że jakaś postać, hen z mgły, wlokąc powoli skrzydła po roli, idzie ku niemu i na źrenicach senną, świetlaną dłoń mu kładnie...

„Lepiej by ci Maryś było, lepiej w domu mo...“

Ach!!!...

. . . .

5. Październik 1905.

STANISŁAW ORLICZ.

DON QUIJOTE CERVANTESA DE SAAVEDRA.

(W 300-tną rocznicę wydania Don Quijote'a)

KOL. ADAMOWI WERNEROWI.

W roku 1605 w księgarniach miasta Walladolid ukazała się książka, której pięć wydań rozchwytano w przeciągu kilku miesięcy. Wypadek niesłychany, ale i książka nadzwyczajna, bo Don Quijote [1]) Cervantesa, którego wydania trzechsetną rocznicę w bieżącym właśnie roku obchodził uroczyście cały naród hiszpański, jest jednym z tych dzieł genialnych, które stanowią kamienie węgielne literatury światowej. Pierwotnie miał być jedynie satyrą na senzacyjne romanse rycerskie, czytane podówczas nader chętnie w całej Europie, a pełne nieprawdopodobnych walk błędnych rycerzy ze smokami i duchami. W ciągu jednak pisania wzrósł on na dzieło o głębokiej podstawie filozoficznej, przynoszące wysokiemu rozumowi i pojęciom Cervantesa ogromny zaszczyt.

Ideą przewodnią tego romansu jest przedstawienie walki człowieka z przeszkodami życia ziemskiego i szalejącej w jego piersi burzy uczuć i chęci. Burzy tej doświadczył na sobie i sam Cervantes, kiedy jego najlepsze, dla dobra ludzkości podejmowane zamiary rozbijały się o ciężki los, który go prześladował nieszczęściami. Toteż tchnął on w dzieło swoje skargę własnej duszy, żal do świata, który umysł jego rwący się do sfery umiłowanego ideału przygniótł gorzką rzeczywistością twardego życia. Stąd ta doskonałość, niemal fotograficzne przeprowadzenie idei, o której ujęcie w ramy

[1]) Czytaj. Don Kichote.

utworu literackiego kusiło się wielu poetów i prozaików, lecz żaden z nich nie stanął na wysokości omawianego autora.

Bohaterem dzieła tego genialnego Hiszpana jest idealista, który żyje tylko w świecie złudzeń i marzeń, a dąży do najszczytniejszego wydoskonalenia się, wyzwolenia od ziemskich, codziennych trosk o życie. Nie poprzestaje on jednak, tylko na rozmyślaniach, ale stara się myśli swe wprowadzić w czyn. Chce naśladować bohaterów czytanych romansów, stać się sławnym przez swoje awanturnicze przygody i czyny, słowem jest człowiekiem wprawdzie szlachetnym, ale cierpiącym na manię wielkości. Te popędy wybujałej fantazyi wprowadzają Don Quijote'a w stosunku do innych ludzi w nader komiczne, a czasem i niezbyt dla niego przyjemne sytuacye. Pomimo tego ironicznego i wesołego tonu dzieła postać głównego bohatera bynajmnicj nie wzbudza u czytelników śmiechu, lecz przeciwnie sympatyę dla tej tak szlachetnej, o wzniosłym charakterze i uczuciach natury, która nie mogąc nagiąć się do szarego biegu życia, popada w ciągły z nim konflikt.

Obok niego postawił autor Sancho-Pansę [1]), rubasznego wieśniaka, który mu towarzyszy we wszystkich podróżach. Jako charakter jest on zupełnem przeciwieństwem Don Quijote'a. Wyznawca najskrajniejszego realizmu, cynik dbający jedynie o zaspokojenie swych cielesnych potrzeb, chytry egoista starający się o pełną kieszeń i pozbawiony wszelkiej odwagi, giermek naszego błędnego rycerza ma jednak czasem przebłyski poczciwości i daje nieraz dowody prawdziwego przywiązania do osoby swego pana, chociaż z pewnością czyni to raczej instynktownie, niż świadomie. Zdaje się, że autor widział w ujemnym jego charakterze skutek, raczej ciemnoty, niż moralnego zepsucia.

Pomimo różnicy jaka zachodzi między osobistościami Don Quijote'a i Sancho-Pansy, nie mogą oni bez siebie obejść się, kłócą się i walczą z sobą, a nie rozstają się. W tem ciążeniu jednej osoby do drugiej mieści się główna myśl autora, allegorya dwóch władz wewnętrznych człowieka, które się składają na jego naturę. Wyobraźni, która podsuwa mu olbrzymie plany, wszystkie przedmioty przedstawia w najkorzystniejszem świetle i rozsądku wtłaczającego fantazyę w koryto realnego wykonania powziętych zamiarów przyczem się one wprawdzie bardzo redukują, ale chociaż w części cel swój osiągnąć mogą. Skrajnem uosobieniem wyobraźni w dziele Cervantesa jest Don Quijote rozsądku również skrajnego zaś Sancho-Pansa. Ponieważ autor z równie

---

[1]) Czytaj: Sanczo-Pansę.

ciepłem uczuciem traktował obie te osobistości, wyciągamy stąd wniosek nawet wielu ustępami dzieła. uzasadniony, że nie potępia on bezwzględnie idealizmu swego bohatera, lecz wypowiada przekonanie, że każdy człowiek powinien być idealistą, ale w połączeniu z rozwagą, bez egoizmu Sancho-Pansy i nadziemskiej egzaltacyi Don Quijote'a.

Don Quijote, co do budowy swej jest romansem niezbyt doskonałym; oryginalnym wprawdzie, ale bardzo niejednolitym, pełnym niełączących się z główną akcyą epizodów, niekiedy tak nawet wielkich, że mogłyby stanowić osobne utwory. Usterki te jednak giną obok nadzwyczaj ożywionego toku akcyi, okraszonej, żywym, niewymuszonym dowcipem, obok całej galeryi świetnych typów występujących tu osób, które nawiasem mówiąc są często karykaturami osób wrogich autorowi. Że Don Quijote jest dziełem, jakich w literaturze powszechnej mało, stwierdza już nie sama ocena uczonych krytyków, ale plebiscyt całego szeregu pokoleń tego świata, nieustająca z biegiem lat popularność dzieła.

A teraz nieco o samym Cervantesie i innych płodach jego ducha!

Miguel de Cervantes Saavedra, jak brzmiało pełne jego nazwisko, urodził się roku 1547 w mieście hiszpańskiem Alcala de Henares. Już od młodzieńczych lat oddawał się twórczości poetyckiej, kształcony pod światłym kierunkiem humanisty Juana Lopes de Hoyos. W 23 roku życia bawił w Rzymie jako sekretarz kardynała Juliusza Aguavivy, a następnie wziął udział w wyprawie na Turków i w bitwie pod Lepanto, gdzie został ciężko ranny. Obdarzony pochwałą i nagrodą wracał do rodzinnego kraju, lecz w drodze wpadł w ręce korsarzy algierskich. W ich niewoli, pomimo wszelkich prób ucieczki przebył Cervantes ciężkich pięć lat, kojąc tęsknotę za krajem, filozoficznemi rozmyślaniami na temat walki człowieka z losem, z których wyrósł potem Don Quijote. Wreszcie w roku 1580 wykupiony wrócił do ojczyzny, ale nie mogąc znaleźć żadnych środków do życia zaciągnął się do wojska i odbył kampanię portugalską. Po skończeniu wojny oddał się twórczości dramatycznej i napisał około 30 sztuk dla teatru. Gdy mimo to jego stosunki materyalne nie poprawiały się, przestał pisać i zajął się bardziej zyskownymi interesami komisowymi, które mu dały sposobność do gruntownych studyów nad naturą człowieka. W roku 1597 z powodu jakichś zawikłań rachunkowych został aresztowany, ale wnet wypuszczony udał się do Walladolid, gdzie w kilka lat później ponownie całkiem niewinnie dostał się do więzienia. W ostatnich latach swego pełnego przygód życia przebywał w Madrycie, gdzie też zmarł w nędzy 23 kwietnia 1616 roku.

Jednym z najwcześniejszych dzieł Cervantesa jest Galatea, nowela z życia pasterzy. Następnie wyszły Novelas ejemplares (Nowele przykładne, 12 utworów satyrycznych i humorystycznych, a nawet poetycznych. Odznaczają się one oryginalną rozmaitością treści i subtelnem uczuciem walki serca ludzkiego, obok doskonałej kompozycyi i wytwornego, prawdziwie klasycznego języka. W El Licenciado Vidriera (Szklanny Licencyat) Cervantes za pomocą odpowiedzi, które daje tłumowi człowiek ulegający przywidzeniu, że jest szklanny, krytykuje ostro hiszpańskie stosunki społeczne. Podobną satyrą pełną ciętego dowcipu jest także Coloquio de los perros (Rozmowa dwóch psów). Inne noweje, jak La española inglesa (Hiszpanka w Anglii), El Zeloso Estremeño (Zazdrosny Estremadurczyk), El casamiento enganóso (Zwodnicze małżeństwo), La Tia fingida (Ciotka domniemana), Rincanete y Cartodillo i La Gitanilla (Cyganka) są kreślone na tle życia andaluzyjskiego i to ze znakomitym rysunkiem charakterów. Ostatnią pracą Cervantesa jest Trabajos de Persiles y Segismunda. Słaby, może ze wszystkich jego dzieł najlichszy, ten romans opowiada pełne przygód koleje dwojga królewskich kochanków.

W przekładzie polskim posiadamy Don Quijote'a jedynie w wydaniu warszawskiej „Biblioteki dzieł wyborowych“. Wydanie to poprzedza gruntowne studyum o Cervantesie skreślone przez znakomitego historyka literatury Juliana Adolfa Święcickiego, którego pracą posługiwał się i autor niniejszego wspomnienia jubileuszowego.





M. D.

IX. WYSTAWA „SZTUKI.“

Obecna wystawa „Sztuki“ przyniosła nam, biorąc ogólnie, wiele dzieł znakomitych, tak pod względem treści. jak i formy. Przedewszystkiem stoi ona bezsprzecznie wyżej od przeciętnej „nieustającej wystawy.“ I jakkolwiek złożyły się na nią prace tychsamych autorów, ludzi, których dzieła oglądamy od czasu do czasu, to rzeczy o wiele doskonalsze i wcale niepoślednie. Mniej znajdujemy t. z. „kiczów“.

Z dzieł malarskich wybijają się na pierwszy plan nie ilością, lecz zasobem zalet artystycznych i twórczych utwory genialnego artysty i poety St. Wyspiańskiego. Jeśli porównamy obecne prace jego z poprzedniemi, to stanowczo te ostatnie zaliczyć należy do najlepszych. Przeczą one pod każdym względem zarzutowi jakiejkolwiek maniery. Artysta ten ciągle idzie naprzód, studyuje uczenie a naiwnie, odtwarza coraz to nowe przejawy ducha, sięga do coraz innych tematów. Wszystko to zaś ujęte w formę dekoracyjną o przepysznym rysunku, miękości linii i zharmonizowaniu barw. Jak zaś czuje Wyspiański przyrodę, to widzieliśmy w jego pastelowych krajobrazach pełnych zalet nastrojowych, lekkich i subtelnych pejzażow francuskich. Ile tam powietrza ile szczerej, prawdziwej natury!

Jakiż to znów świat zgoła inny, jak z bajki wyjęty, widoków taterskich Wyczółkowskiego! Kto tak czuje i zna naturę, niedziw, że stwarza tej miary arcydzieła. Górskie te krajobrazy tchną więcej, niż poprzednie jego prace świetnością kolorystyki i efektami. Patrząc dłużej na nie, zdaje się, iż się ma przed sobą naturę w swej potędzę i tajemniczości.

Muzyką przyrody nazwaćby można te skromne rozmiarami arcydzieła pejzażowe Stanisławskiego. Ile nastroju i jak odmiennego mieści się w jego krajobrazach, tego samego motywu? Raz przewija się przed naszemi oczyma groźna burza — to znów dzwoni pogodny ranek słoneczny, lub ogarnia nas chłód i spokój wieczoru.

Pełne słońca i światłem napojone pejzaże dał nam niezrównany akwarelista Fałat. Najwięcej wymienionych zalet posiada „Krzyż" i „Na wiosnę", z drgającem powietrzem w cieple promieni słonecznych. Niebo natomiast nie zawsze zharmonizowane, razi swem zimnem, metalową powłoką.

Dlaczego Mehoffer przy swych wybornych pracach wystawił i wcale liche, banalne studya — nie wiadomo. Wszak trudno zachwycać się, nie wytknąwszy błędów w utworze słabym, jakkolwiek stworzył go artysta w innem swem dziele niezrównany. Jedna wybitna cecha talentu bije z wystawionych dzieł jego — dekoratywność. Jak długo Mehoffer ogranicza się do zakresu swej twórczości daje nam rzeczy znakomite; lecz z chwilą, gdy pragnie dać obraz, tworzyć dla treści nie formy zabija tę pierwszą swą — dekoracyjnością. Będzie to materya, dywan, sprzęty i tp. odtworzy je niezrównanie, ale poza tem nic więcej. Przecież portretem nazwać nie można masę brudnej karnacyi, głowy bez życia, wyrazu. Co więcej, razi i mrozi to wszystko ten surowy koloryt zielony, zdławiony nieco, matowy, czy to w karnacyi czy pejzażu — ta jednostajność barw. Nadto w figuralnych okazach czuć jeszcze do pewnego stopnia akademizm w traktowaniu rysunku, kolorytu, w których rażą drobnych w stosunku do korpusu rozmiarów głowy i ręce.

Te same „opatrzone" główki i typy, szablonowo i na jedną modłę wykonane studya dał nam Aksentowicz. Będzie to główka kobiety, dziewczyny, zawsze z tym samym słodkim cukierkowym wyrazem, zastygłym w bezmyślności i ze zdawkowym wdziękiem, bez żadnej cechy indywidualizmu. Ładne i wdzięczne „obrazki" — nic więcej. *(C. d. n.).*



BEWUSKI.

KILKA SŁÓW O NASZEJ MUZYCE I MUZYKALNOŚCI - - -

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Pomimo wielkiej liczby zapalonych wielbicieli naszych przeróżnych narodowych zalet, nie możemy się pozbyć uporczywej myśli, że Polacy jednak nie są narodem muzykalnym, to znaczy narodem, któryby własną kulturą muzyczną, ruchem muzycznym, wybitnymi talentami i, co przedewszystkiem, talentami niezmarnowanymi mógł się postawić obok Włochów, Francuzów, Niemców i innych narodów wybitnie pod tym względem... dumnych. Kiedy dysputa na ten temat idzie na ostre z całą świadomością rzucamy największy pocisk na naszych przeciwników: „Chopina!“ i zdaje się nam, że po tem druzgocącem słowie możemy spokojnie usiąść i cieszyć się niemem zakłopotaniem tego, co śmiał jeszcze przed chwilą wyśmiewać naszą muzykalność. Pomijając już tę kwestyę, czy zupełnie wyjątkowy Chopin, z pochodzenia napół Francuz, może na swoją osobę przyjąć ciężar ogólnej polskiej twórczości muzycznej, stwierdzam fakt, że niemamy wobec innych narodów żadnego innego argumentu „pro,“ bo poprostu sami nie znamy własnej

na tem polu siły. Może kto wypowie nieśmiało nazwisko „Moniuszki" a może kogoś z nowszych, żyjących, ale zawsze z pewną rezerwą, bo gdyby szło o wykazanie wielkości naszych mocarzy tonów, nie umielibyśmy powiedzieć ciekawemu dużo, bo tak mało wiemy, albo tak zastarzałe, a jednostronne posiadamy sądy, że musielibyśmy się rozmawiając z inteligentnym, kulturnym Europejczykiem powstydzić samych siebie. Znany jest ten wierszyk: „Cudze chwalicie, swego nie znacie..." i tak dalej. Mam to najgłębsze przekonanie, że większość muzykujących ludzi u nas z większą łatwością i pewnością wyliczy tonacye i „opusy" wszystkich rapsodyi Liszta, niż wszystkie, a nawet choćby najważniejsze dzieła Moniuszki. Jest to wypływem oczywiście zresztą wcale nienagannego uwielbienia wszystkich męczycieli fortepianu dla szalenie interesujących biegników, trylerów i oktawowych „awantur" i dla niezwykłego narodowego, węgierskiego charakteru melodyi. O tem, że mamy całą masę utworów polskich, o wybitnie narodowem zabarwieniu, pełnych ludowych motywów i charakterystycznej rytmiki, zapominamy, albo, wiedząc o tem, pogardzamy, jako tem, co nam jest za pospolite, za powszednie, za blizkie. Jednemu Chopinowi wybaczamy to, a nawet niekiedy mamy mu to za zasługę, ponieważ właśnie tem „zdradza" polskość. Do Chopina jeszcze powrócę może z większym zapasem argumentów dla wykazania o ile, w jakiej mierze Chopin jest typowo polskim kompozytorem, a o ile właśnie niepolskim.

Teraz ciągnę dalej to, com zaczął, mianowicie moją „jeremiadę" na temat nieznajomości i braku zainteresowania u Polaków do rodzinnej literatury muzycznej. Nie wiele potrzeba wysiłku, żeby to wszystkim wprost przed oczy postawić. Przejrzyjmy całą masę programów z koncertów ostatnich lat, gdzie nasi rodacy, artyści i amatorzy wykonują najrozmaitsze kompozycye polskie. W tak bogatym u nas dziale twórczości, jak pieśń jednogłosowa, możemy zauważyć kolosalną monotonię i brak smaku w wyborze utworów. Kilka najbardziej znanych serenad i barkarol Galla, humoreski pretensyonalnie-bezbarwne Niewiadomskiego i najsłabsze właśnie wyjątki z jego cyklu „Jaśkowa dola", dalej wiecznie powtarzane ballady Moniuszki i arye z oper jego, nie nadające się na estradę koncertową, czasem jakaś łatwa piosenka na swojską nutę Zawadzkiego, czy Münchheimera, czasem krakowiak Noskowskiego, wreszcie bardzo rzadko jakiś „o ile możności najmelodyjniejszy" utwór Żeleńskiego. Często znowu grzeczność towarzyska nakazuje wykonać z delikatną nonszalacyą kompozycyę, któregoś z lokalnych mistrzów tonów. Najpiękniejsze zaś i najgłębsze utwory Moniuszki, Galla, Żeleńskiego,

Noskowskiego, Paderewskiego, z młodszych Stojowskiego i Karłowicza i innych bardzo rzadko, a przeważnie wcale nie widzą estrady, dlatego, że nasi artyści zaczynający karyerę nie zadają sobie wcale trudu przeszukania, czyli przestudyowania wszystkich polskich kompozycyi, ale zadowoleni są z tego, że ten, lub ów utwór, tam a tam, wtedy a wtedy, przez lepszego oczywiście śpiewaka wykonany podobał się ogólnie i oto powstaje obrzydliwa monotonia kompozycyi przeważnie barkarolowo-kochliwych, albo krakowiaczkowo-mazurkowych. Oczywiście ważną rolę gra tu, tak zwany „powszechny gust“ publiczności, na którym bardziej zależy ambitnym, łaknącym burzliwych oklasków wykonawcom, niż własnej artystycznej, estetycznej satysfakcyi.

Istnieją u nas wyjątki pod tym względem pomiędzy artystami, ale bardzo przeważająca liczba śpiewaków i śpiewaczek polskich trzyma się stale wypróbowanych, niezawodnych w efekcie, a oklepanych aż do przykrego znudzenia „kawałków“. Zapominają oni o tem, że smak ogółu P. T. publiczności wyrabiają sami wykonawcy, a raczej kompozytorowie przez wykonawców, tylko kompromis tych ostatnich powinien się opierać jak z jednej strony o artystyczne opracowanie i inwencyę autora, tak z drugiej o wcale nie przeciętne znawstwo, smak i dobrą wolę wykonawcy. Za tem wszystkiem idzie mały popyt u księgarzy pieśni polskich. Na małą, ogółem wziąwszy u nas, sumę wydatków na muzykalia 90 procent ofiarowujemy na przeróżne śpiewne i gładkie „Lasseny“ i „Tosti“, a drobną cząstką decydujemy się w pewnych chwilach, o których się filozofom z pewnością nie śniło, wspomagać, popierać, podnosić, ułatwić artystyczny przemysł krajowy. O! jak my dobrze pojmujemy zasadę wzajemnej pomocy narodowej pod tym względem! Zupełnie to samo da się powiedzieć o kompozycyach fortepianowych, polskich. Pomijam już to, że się zupełnie ignoruje całą masę utworów Noskowskiego, Paderewskiego, Stojowskiego, Melcera i innych, ale my i Chopina nie znamy całego! Znowu „powszechnie ulubione“ polonezy, walce i nokturny pociągają nas na programach znowu dziwnie monotonnych, bo utwory nie przemawiają do nas same przez się, w cichym pokoiku, w samotności, albo przy garstce tylko przyjaciół zasłuchanych, ale na oświetlonej rzęsiście estradzie, przy ogromnym tłumie pozującym na wybitną muzykalność, przy łatwo udzielającem się zachwyceniu i podziwie wobec szalenie brawurowych oktaw w lewej ręce w słynnym polonezie as-dur i perełkowatych figurek w walcach i nokturnach i tak dalej, uwielbiamy Chopina, który właśnie najmniej przemawia swoją subtelną, tkliwą naturą z bądźcobądź pompatycznej estrady. Jakże teraz mała jest liczba muzykujących u nas

ludzi, którym sprawia rozkosz wysoką zagranie łatwiejszych może preludyów i mazurków i nadzwyczajnie głębokich, a mało grywanych sonat Chopina, bez kinkietów, bez wyczekiwania trudnych ustępów i bez widoku osoby grającej, która sama swoją indywidualnością sugestyonuje nas, tak zewnątrzną, jak i wewnętrzną, duchową.

Podobnie się rzecz ma z interesowaniem się polskimi utworami choralnymi. Oprócz Galla, którego się traktuje urzędowo, jako mistrza u nas w tym rodzaju twórczości i Moniuszki, którego się tu szanuje ze względu na głośnę imię, wolimy najrozmaitsze Regensbugerowskie „Gute Nachty“ i „Lieb' dichy“, niż mnóstwo oryginalnych kompozycyi Żeleńskiego, Maszyńskiego, Niewiadomskiego, Sołtysa, Gertza, Kotarbińskiego i innych. Wszystko to zawdzięczamy naszej zwyczajnej a nadzwyczajnej nieznajomości własnej twórczości na polu muzyki. Stale twierdzimy, że niema co popierać polskiej muzyki, bo jej nie posiadamy. Trochę dobrej woli i przedewszystkiem dużo szlachetnej ciekawości, a może powiemy zupełnie coś przeciwnego. Trzeba tu podnieść smutny objaw, że brak nam w tym kierunku zupełnie odpowiedniej literatury krytyczno-biograficznej. Oprócz kilku niewyczerpujących monografii o Moniuszce i Chopinie i oprócz kilkunastu przygodnych artykułów, czy nawet poprostu wzmianek gazetowych o żyjących obecnie kompozytorach, nie posiadamy żadnych książek, któreby ludziom ciekawym mówiły o naszym dorobku artystycznym w sposób ścisły, naukowy, poważny, wyczerpujący. Brak tu zamiłowania i... odpowiedniego wykształcenia fachowego. Rozprawka o „Bogarodzicy“, Polińskiego, napisana bardzo sumiennie dotyka właściwie przedmiotu, który należy przedewszystkiem do literatury pięknej, bo muzyczna wartość tego zabytku nie może stanowić żadnej wytycznej w historyi muzyki polskiej, a motyw melodyi nie wybiega wcale poza mnóstwo innych ludowych pieśni kościelnych polskich. Smutny jest również objaw, że u nas nie może się utrzymać długo poważne pismo muzyczne, (o którego doniosłości kulturnej nie potrzebuję dużo się rozwodzić) bo, albo brak poparcia muzykalnych kół, albo brak pieniędzy, albo brak dobrego kierunku. Przed kilku laty założono pismo muzyczne p. t. „Wiadomości artystyczne“, które miało wszelkie warunki powodzenia, bo i pełnych zapału i odpowiedniej erudycyi kierowników i współpracowników i początkowo na chwilę obudzoną sympatyę publiczności, upadło jednak wkrótce, bo... naraziło się osobom wpływowym, które nie znoszą śmiałej krytyki. Teraz przed miesiącem wydano pisemko muzyczne, wychodzące we Lwowie. Przystępuje ono do pracy kulturalnej na polu muzycznem z bardzo

szczuplemi środkami, więc ma wszelkie dane do prędkiego uwiędnięcia, czego oczywiście nie należy mu wcale życzyć, bo najmniejsze choćby usiłowanie dobre w tym kierunku warte więcej, niż bezwzględnie śmiałe, a dyletanckie krytykowanie i wyrabianie opinii naszego muzykującego tłumu, co powiada głośno o swoim smaku artystycznym, a właściwie łowi tylko uchem najrozmaitsze zgodne zapatrywania, które niewiadomo gdzie się rodzą i tem wojuje w dysputach muzycznych, nie wiedząc, że u nas wystarcza zrobić minę krytyka i powiedzieć na wiatr parę głupstw efektownych, a ludziska chwytają w lot „mądre słowo“ i powtarzają echem bezmyślnie wszerz i wzdłuż jako sąd własny, indywidualny.

Boże, przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią! *C. d. n.*



Z KRONIKI TEATRALNEJ.

„Ijola“ dramat z średniowiecza, Jerzego Żuławskiego. „Konfederaci barscy“ Mickiewicza. „Warszawianka“ i „Bolesław Śmiały“ Stanisława Wyspiańskiego (wznowienie).

Ijola. Żuławski, to szeroko rozlana akcya, lubująca się w pełnych grozy scenach, to inteligentny człowiek wprowadzający obmyślaną rzecz w ramy dramatu, o barwnym, barwnością tą nieraz przeładowanym tle. Indywidualności tam mało, siła życiowa tryska tu i ówdzie, ale z pośród niej czuć zawsze człowieka zimnem patrzącego okiem w czarną otchłań publiczności i badającego, jakie wrażenie ten lub ów obraz na słuchaczach wywołuje. Tak traktowana sztuka może być piękną, ale wyjść po za ramę przeciętności nie może. Dowód Ijola.

Miłość, dużo księżycowego promienia, lunatyczka spadająca z wysokości „że patrzeć aż się w głowie mąci“ i nie tylko nie zabijająca się, ale nazajutrz stająca zaraz przed sądem kościelnym, oskarżona przez zazdrosnego męża o złamanie wiary małżeńskiej, parę zgrabnych ballad, efekt ze śmiercią pazika, piosnka rycerza z orlemi skrzydłami, klątwa na duszy księżniczki Maruny, skazanej przez los na zatratę własnego i cudzego szczęścia, reminiscencye z kilku dramatów związane w bukiet, rozstrzelający się w barwach zmierzchu, nocy miesięcznych, średniowiecznych kostyumów, dekoracyi, oto, co kłębi się w myślach wychodzącemu z dramatu Jerzego Żuławskiego.

Wartości literackiej jest tak małej, że prawie niknie ona wśród efektów tanich, przytem niepotrzebnie rozwałkowany na cztery akty, gdyż ostatnie dwa muszą wzbudzić w widzu uśmiech, taki lekki uśmiech pobłażania: „Ach mój Boże, no tak, to działo się w średniowieczu... no tak... co chcesz, ludzie spadali z zamku Hradczyna a nie gruchotali sobie kości... przytem dekoracye nowe... kostyumy... grają znakomicie... a więc i t. d. Co do mnie, to chwilami w akcie trzecim zdawało mi się że, p. Walewski wkroił w nowe ramy Sienkiewiczowych Krzyżaków, kazał im o cnotę Danusi — Maruny — Jagi — Ijoli rzucać rękawicę, tylko miast Zbyszka staje w progu Zygfryd de Löwe, niosąc synaczka, straszny, siwy, okropny bólem za ukochanym dzieckiem i podnosi Sąd Boży!

Nie sądziłem, by Geniusz poetycki Jerzego Żuławskiego odwrócił tak prędko od niego twarz i załamał ręce, oddalając się w mgłę!

Konfederaci. – Warszawianka. „Potęgo śpisz, do ciebie lgnę, obudź się ty lwie“. Oto hymn płynący ze sceny, oto odzew dusz wielkich, wielkich pieśni. Dwa wysiłki narodu, dwie próby dźwignięcia się z nicości i nowe dwie klęski, morze łez i krwi. Lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne, bije nam w piersiach krzyk, tłucze się skarga, ale i dumą podnosi się duch, gdy runie pieśń jak grom, „hej kto Polak na bagnety, żyj swobodo, Polsko żyj“ i choćby nam zatruwał myśli smutek, choćby na oczy nachodziła łza, choćby ten całun śnieżny, pokrywający dywizyę Żymirskiego, sypał się na to całe wojsko wśród grania trąb przechodzące, toć jest coś, co wstrząsa jestestwem każdego słuchacza, Coś, co z głębi piersi wyrywa się jak krzyk ks. Marka: „Oni Te Deum szyzmatyckie duchy, czy oni sądzą, że Bóg ślepy, głuchy?!“ O tak, te dwie pieśni, te dwie ze sceny przemawiające do serc naszych potęgi, te karty wydarte z księgi minionych sławy dni, wołają na nas głośniej, niż całe tomy historyi i tem są wielkie, że niespożytą w szatę poezyi zaklęte siłą ducha, pokazują nam, że mieliśmy „płaszcz przeszłości nie wyżebrany, lecz świetnościami naszych przodków świetny“, przypominają, że ludźmi będąc, błądzić mogli, ale gdy rozbrzmiało hasło: „Oto dziś dzień krwi i chwały“ rozerwali okuwające ich ogniwo i jak uśpione lwy stanęli do zapasów olbrzymich, a choć oplątani jakimś strasznym fatum dziejowem uledz musieli przemocy, to jednak przez to, że wierni obowiązkowi wyryli na ryngrafach swoich „dość już długo brzmiał na strunach wieszczów żal, czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal“, wznieśli pamięci swej pomnik, przed którym każdy, a przedewszystkiem Polak winien pochylić skroń i pomnąc na ich bohaterską, niestety bezowocną śmierć, wypisać

sobie stygmatem na sercu to, do czego za późno doszedł dufający w Francyi orły Chłopicki, że w tej dziejów rubierzy, żaden twój Cherub nam w pomoc nie zbierzy, ufny sam w siebie Naród niech powstanie, i z sądu świata samych wskrzesi siebie".

Bolesław Śmiały.

Polećcie ze mną w ten czas przed wiekami,
który sny jeno na pamięć przywodzą,
gdy się z majaki co idzie przed nami,
majaki duszy utęsknionej rodzą.
Najdziecie wtedy gród, święty skarbami,
kędy was stróże rapsody powiodą.
A kędy dłonią we mroki wam wskażą
patrzcie, bo przeszłość przed wami obnażą.

I wstaje ta przeszłość, jak Afrodis z piany morskiej, obnażona w całej swej piękności, za dotknięciem dłuta mistrza. Wstaje i potęgą swą podbija nas porywa, zmusza iść w te zaczarowane światy narodowego pamiątek kościoła, wzbudza z martwych śpiące i rzuca nam przed oczy Bolesławów gród i Bolesławową tragedyę. Siłą słów, rąbiących nieraz jak topór, to brzmiących namaszczeniem królewskiej powagi i dumy, to wiarą w moc swą biskupią, tą siłą zlaną w jeden akord z tłem, z plastycznością i pięknością obrazów, dramatycznością i nieraz wstrząsającą nerwami grozą, rozbudzić musi u każdego drzemiące może na dnie pierwiastki piękna i rzucić w świat „cudne, cudne twoje granie, co ino zechcesz śni mi się." I tu potęga, tu siła Stanisława Wyspiańskiego. Dowodzi tego z jednej strony tendencyjna nieraz krytyka, znak, że trafił w sedno zgnilizny i zła, a z drugiej te frenetyczne oklaski kochających piękno a prawdziwą pozycyę widzów. Takie wstrząsające grozą sceny, jak sąd na niewierne żony, klątwa, cały duszny dramat człowieka króla po dokonanej zbrodni, męka ludzka stojąca wobec bezowocności swego dzieła, szamotanie się rozpaczy z szaleństwem, a wreszcie ta trumna wkraczająca jako ostatni grom sprawiedliwości i ten wściekły jęk Bolesławów: "Zostaw koronę nie dla mnie, dla syna, zostaw bo cała Polska mnie przeklina!" to przecie tak ogromne, drgające bólem i prawdą, a zarazem tak piękne, że mimowoli po zapadnięciu kurtyny pierś podnosi westchnienie ulgi a zarazem żałości. Dramat porywa.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Franciszek Pindor. — Druk A. Koziańskiego w Krakowie.

A gdzież szukać tego piękna, jeśli nie w wiośnie życia ludzkiego, skąd strumień życia ma rwać niepowrotną falą, jeśli my umkniemy mu ręki, nie natężymy wszystkich sił, by wskrzesnąć skrzydlatym orlikiem i wzlecieć we chwały śpiewie.

„Tradujcie, depczcie przesądy — do broni!...“

Ale nie za giwery, nie stalą najeżyć rury, ale do broni tej, co każdego narodu jest siłą, do żywiołowej, tytanicznej pracy, nad podniesieniem się z nizkości umysłowej, by kiedyś pokolenia przyszłe mogły z dumą wyrzucić z piersi:

„Bo płaszcz na mym duchu jest nie wyżebrany,
lecz świetnościami dawnych przodków świetny!“

Mój Boże, a ileż my chaosu, rozterek, nienawiści siejem wśród samych siebie choćby i w takiej klasowej istności.

Kto bacznie obserwuje i zajmuje się psychologią dusz młodych zauważy między rokiem szesnastym a dziewiętnastym pewne grupowanie się, analizowanie, rozkładanie na kółka, między którymi bardzo rzadko znajduje się kółko samokształcenia.

Przeważnie znachodzimy młodych ludzi zapatrywań wpojonych tradycyą rodzicielską, bez rozsądku i zimnej krwi starości, bez tejże rozczarowań, i zapaleńców, chcących światy wywrócić na nice.

Osobną grupę stanowią znowu ci, którym na imię „co mnie to wszystko obchodzi, minus „x“ i plus „x“ się znosi, Jezus Marya, taż to na dzisiaj było zadanie — dajcież na miły Bóg zeszyt, jeszcze odwalę — prędzej!“

O wiele częściej zaś spotykamy: „Idzież na lód, panna Mania będzie! Phi, także! co mnie twoja Mańka obchodzi, żebyś ty widział Reginkę, powiadam ci co za solidna kobieta!?“

A nad tem wszystkiem unosi się kurz, krzyk, rzucanie kaloszami i nieodstępne studenckie: „Władek chodźno sobie zajarzyć“.

Rozumie się, są wyjątki z tego przeciętnego bagienka gimnazyalnego, ale tych staramy się wysadzić z siodła jak najspieszniej, bo my przedewszystkiem jak w społeczeństwie, tak i w klasie nie lubimy umysłowych wyższości i takie indywiduum, jako miernik naszej niekulturności mózgowej, zabijemy odrazu albo na honorze, śledząc bacznie każdy krok, każdy czyn, wywłócząc z złośliwością dzieciaka wszystkie byłe lub niebyłe czyny w formie „uważajcie żeby wam nie ściągnął kurtyny“ i t. p. lub ośmieszając, naciągając i nicując słowa wierni zasadom: „Nikt nie był prorokiem między swemi“.

Znakomitym przykładem są ci początkowo imponujący nam przybysze z innych gimnazyów, nadający ton klasie, aż do zupełnego się z nią zbratania.

Potem następuje: „Phi! ja myślałem o nim Bóg wie co, a to przecie idyota, waryat — on chce nas uczyć, oświecać, dobry sobie...“

I znowu wpadamy w krańcowość — my wogóle nie umiemy zadowalać się średniemi wymaganiami, szukamy albo geniuszów, albo kretynów, waryatów.

Czyżbyśmy się trzymali Nietzschowskiej zasady: „że od waryata do geniusza krok tylko!?“

No nie mówię już o tych władcach klasowych, co zapomocą tak zwanej „fundy“ w postaci ciastek i t. d. zyskują sobie obok nazwy „pieniężnych“ także pasowanie na mędrców — ci są poniekąd nieszkodliwi, wybierani bywają wprawdzie do wszystkich komitetów, mają o swoich talentach szerokie pojęcie, stoją chwilę zapomocą t. z. blagi, rzutkości języka i czerwonej podszewki, ale przy zetknięciu się z myślą, ich rozum kołczeje i jak ślimak chowa się w łono skorupy, zgadzając się na wszystko.

O tych zaś wszystkich głoszących: *Odi profanum vulgus* i noszących rozdziałki aż na tyle głowy, kilka słów w końcu.

Mam bowiem zamiar dotknąć skalpelem ropiącej rany, obnarzyć i ukazać jej wnętrze oku tych, co są jej sprawcami, bo wierząc silnie, że w młodości jest siła i przyszłość nasza, chcę, aby ona raz przecie stanęła wobec zapytania: Co dalej? do czego takie niszczenie sił żywotnych ducha, grzebanie w popiołach wieków, pysznienie się tradycyą, bez naśladowania tego co dobre, odrzucenia tego co złe, doprowadzić może, do czego doprowadzi nas błądzenie wśród gwiazd, rozwiązywanie przyczyny bytu, bez uświadomienia co jest jego celem, do czego przywiedzie nas wnoszenie wśród kolegów fermentu z napisem „servus hołota“, roztrząsanie kwestyi, że bogacze jeżdżą pierwszą, parweniusze drugą klasą tramwaju elektr. i uważanie tych, którym przypadek nie wniósł do kołyski herbu, za niegodnych nazwy ludzi!

Zapominają ci „wielcy nasi“ o tem, co powiedział olbrzym myśli, geniusz ludzkości: „że nie w tobie, ale w piękności duszy twej leży wielkość twoja“ i że ci „patryoci polscy wsiąkną w ziemię jak deszcz i nic prócz trawy nie będzie z ich kości“.

Nikt jeszcze pogardą drugich nie zdobył sobie nieśmiertelności.

Zapominają o tem, co wypowiedział największy arystokrata polski Krasiński: „ha! chce ci się żyć jeszcze, a czemu podliłeś się wyższym, gardziłeś niższymi“ i nie chcą wiedzieć, że jeden jest tylko prawdziwy arystokratyzm,

którego wykwitem są dzieła wszystkich „wielkich tego świata“, arystokratyzm Ducha!!

Ale jak z jednej strony podobna brawura niedorostka w zetknięciu się z kolegami godna jest uśmiechu politowania, tak z drugiej oburzającem wprost jest ciągłe szarganie tego co święte i wielkie, tych narodowych pamiątek i ludzi co wówczas stali na czele narodu, głoszenie im Anathema i uważanie za kulę u nogi całego polskiego społeczeństwa. „Pokażcie mi naród bez przewiny, człowieka znajdźcie bez skazy“ woła Zygmunt Krasiński. Czyż ma się spełnić krzyk dusznego rozbitka z „Wesela“:

„wina z ojca idzie w syna,
brat pamięta, syn pamięta
kto te ponarzucał pęta,
i że ręka co przeklęta
była swoja!... Rozbrat wieczny
serca z duszą,
duszy z ciałem
w nim się słabi kruszą,
miecz do walki obosieczny,
my som słabi!“

O tak! słabi jesteśmy, bardzo słabi, brak nam jedności, tej siły każdego ludu, rzucamy się na przeciwników naszych z okrucieństwem psów wściekłych, a szczególnie młodzi zapalni, gotowi jesteśmy w czyn wprowadzić słowa Krotona z „Quo vadis“: „Przyjdź ty do mnie z twoją filozofią a ja ci dam raz głową w brzuch a zobaczymy kto będzie miał racyę!“

I miecz do walki mamy obosieczny, bo zwalczać mamy i wrogów naszej słowiańskiej iścizny, i samych siebie, plujących na wszystko co nie jest nam na rękę, co nie jest nami samymi i wołamy do przeciwników naszych jak Emil Barraut, jeden z przywódców Saint-Simonistów: „Przysięgajcie dzieci klas uprzywilejowanych, żeście nie winne tych cierpień, tych bólów, tej agonii, wy, którzy tyjecie z potu nędzarzy, wyzyskiwanych na waszą korzyść! Przysięgajcie!“

Ale zapominamy równocześnie, że wzrośli dziadowie nasi wśród takich zapatrywań, wśród niewoli ludu w całej Europie i że nam należy się poniekąd chwała, bośmy pierwsi podźwignęli się z ciemni, olbrzymiej pamięci aktem Konstytucyi Trzeciego Maja. (C. d. n.).

B. SĘP.

NA DZIKI.

OPOWIADANIE.

ZYGMUNTOWI CH.

Szliśmy prostą jak strzelił linią.

Wiatr rzeźki niosący zapach kwitnących smreków, sosen, brzóz, przewijał się wśród wysokich traw, falujących, zginających się za każdym silniejszym podmuchem. Po świerkach kilkolatkach, po sosenkach tłukły się dzieżby skrzecząc, ścigając się. Wiosna wiała, niosła ogień w żyły — cały las, aż trząsł się od różnorodnych głosów. Rozhowor ptaszęcy szedł w dal, po moczarach, gajach, łąkach, jeziorach, w siną głębię, aż do sadyb ludzkich wtulonych w płoty, topole, klony, widniejących hen na skraju widnokręgu.

Gdzieś z pastwiska biegł głos chłopaka i rozlewał się po lesie, budząc rozkołysane i tak echa.

„Hej dana da, dana moja dana....“

Cudny wiosenny wieczór.

Doszliśmy do trzech zbiegających się duktów, skręciliśmy na lewo i po kilku chwilach spostrzegłem pod stopami naszemi rozciągające się wielkie kilkumorgowe porosłe trzciną jezioro. Zielona toń, przejrzysta, pozwalała dojrzeć rojące się w jej ramionach płazy, ryby — wielkie koła rozchodziły się w wszech kierunkach, grające trzciny, spokój, jakby zaduma, majestatyczność — wielkość.

Zwróciłem się do leśnika.

„Spoczniemy!!“

„A można! Czas okrutny. Miarkuję po słońcu, co światłość będzie wielga — byle tylko Pan Bóg zdarzył spotkanie, to nie wrócimy sami do dom. A dziczki lubią taką jasnotę...“

„Zapalcie“ — rzekłem wyjmując papierośnicę.

Stary wziął papierosa, popatrzył i skrzywił gębę, co oznaczało uśmiech.

„Oj, dawnom nimiał w gębie uczciwego cygara — człek świństwo pyka, ot dreike cyckam, a i to dobrze, jak jest.... psia dola!“

Rozłamał, wyjął fajkę, natkał dragona z hełmem.

Potarł zapałkę, zgasła, wyjął drugą, złożył w muszlę czarne ręce zapalił.

„Słoneczko dopiero co zaszło, jeszcze z pół godzinki czasu — chodzić samemu kuczy się“ rzekł składając strzelbę. Legł na mchu. Chwilę ciągnął z fajki puszczając dym, wreszcie odgarnął go ręką, bo szedł w moją stronę i wzróciwszy się ku mnie spytał.

„Panisko, długo to tak jeszcze i będzie!?“

„Niby co?“

„Ano wedle tego pytam, co to coraz gorzej się dzieje, a gorzej. Bez te roki, co ja tu w tych stronach łażę, to wszystko, jak na uwziątek się wali i wali. Ot, jak ja tu nastał na podleśnego, tośmy jeszcze kabstówki mieli — był ci tu zarządca Majer, niemczysko, czy ki dyabeł, dość że niechrzczone to było. Do kościoła nie jeździł, ino cięgiem w lesie, albo w polu. A trzeba panu wiedzieć, że tu w te czasy były bory, hej miły Boże, jakeś wlazł w gąszcz, toś i lazł, po świerczynie, po dąbrowie, po sośninie, nijakich ugorów, ani rykw nie było, tylko szczery, setny las. Aż się w człeku dusza radowała, gdy we wiosenkę las się podnosił, tyle pisku, śpiewu a krzyku, kukania.... Tfu!..“

Tu przerzucił fajkę na drugą stronę gęby i jął mruczeć coś niezrozumiale. Spojrzałem z boku na niego. Twarz zmarszczona, jak sfałdowany pergamin o czole nasianem wyżłobieniami, wielkim, wypukłem tak, że oczka małe siwe, jakby zadymione, uciekły gdzieś w czaszkę. Zdawał się być krótkowidzem, ciągle mrużył powieki, przyczem twarz mu grała. Dwa wąsiska, jak wiechy spadały na przód bezzębnej szczęki poruszającej się, krzywiącej, zaślinionej. Postać cała zgarbiona, jakby pod ciężkiem ugięta brzemieniem, nogi krótkie w pałąg zgięte znamionowały siłę i ciętość. Ubrany był w szarą, starą chaderę darowaną mu przez leśniczego, przepasany paskiem, na który ponalepiał wycinki z kalendarzy, przedstawiające polowania. Przez ramię zwieszała się torba, pokurczona od deszczów i wilgoci. Tylko na piersiach lśniła się czysto wyszurowana blacha, znak godności leśnika. — Bosy gdy stał ze strzelbą w ręku, miałeś wrażenie, że to jakaś karłowata krzewinka, co za lada wionięciem wiatru rozleci się w drzazgi!

Stary grzebał chwilę we mchu, rozgartywał ziemię; wreszcie splunął zamaszyście, cisnął garść mchu zdartego w wodę, potarł nozdrza raz, potarł drugi, krząknął jakby chcąc coś rzec, i siadając na ziemi spytał.

„Paniczu, a co się stanie z tem wszystkiem, z lasem, z wodą, wsiami, miastami, kiej przyjdzie koniec świata. Musi i one zginą, albo co?“

Gwizdnąłem przeciągle.

„Co się stanie... bo ja wiem...“

„He, he, panisko myśli, że Jakób głupi, panisko powiada, — stary bajdurzy, chciałby się pytać, dowiedzieć a nie rozumie, he, he, głupi stary, a ja panoczkum żył, i to nie jeden roczek, nie dwa, widziałem i te wielgą wojnę, co to po lasach się kryli a pukali, widziałem, jak się chłopy zebrali, ogień wielki był, radzili, niby jakieś pisma czytali, gorzałkę pili — aż poszli do tego Majera, co tu leśniczym był. A dobre to było chłopisko, poganin psiawiara bo był, ale nijakiej krzywdy ludziom nie robił, nawet kraść dawał — a jakże! — A syna miał jak odyńca... czarny taki na gębie, zacięty a silny, to jak rznął w pysk stodołę byś rozwalił — ino, że wilkiem patrzył, tak jak i ojciec“.

Wysypał na rękę żar z fajki, przyłożył gałązek i począł dmuchać, rozniecając ogień. Wybałuszył oczka, nadął gębę, wydłużył usta, aż płomień objął gałązki i z dymem buchnął krwawiąc i czerwienią oblewając w mroku stojące świerczyny.

Wielka smuga padła na tafle wody, rojowisko ryb ściągając do brzegu. W lesie cichło. Wielkie olbrzymy, brodate mchem, spoczywały w głębokim śnie i zdały się marzyć o zeszłych, minionych wiekach, rusałkach, boginkach leśnych, tan na polanach wiodących i smętnym szumem liści głosiły żałość i płacz, który niósł wicher po trzcinach łomocąc, trącał o kryształne fale i w tumanach mgieł rozpraszał.

Czasem gwizdnął jeszcze kos, zatrzepotał się czarną plamą na szczycie sosenki, rzucił w powietrze kilka tonów i znikł w gąszczy. Las stał olbrzymi, poważny. Dziwnie fantastycznie migotał ten blask po fali, po pniach omszonych, po trawach i trzcinach. Na czarnym tle rzucony płomień, nas dwóch.... i niebo zasiane gwiazdami, jak łan zbożny makiem.

Taka cicha, rzeźka noc.

„Miły panie, jaka to drzewiej była pukanina, to hej! Jeszcze za Majera, co to żadnej taryfy na zwierza nie było. Jesień nie jesień, wiosna, zima, co ci wlazło pod rękę, to pyk. A dziś zabij gadzinę na wiosnę, wygnać gotowi a jeszcze karę zapłacić każą“.

„Psi czas“.

„I wy tak zawsze sami — spytałem — dzieci macie!“

W tej chwili smolne szczapy poczęły pryskać i żywy płomień buchnął rozpraszając ciemność i blaskiem krwawym oświecił szczerniałą, skurczoną, jak u złego psa, twarz leśnika. Małe, płowe oczki rzucały stalowe błyski, długie do szponów sowy podobne palce darły kurczowo korę z pniaka a zwiędła, zapadła pierś poruszała się szybko. Stary drgał. Widać jakieś ciemne wspomnienie przewijało się w jego mózgu, bo zwyczajem swoim poruszał szczęką, jakby żuł, co znaczyło, że myśl pracowała. Wreszcie plunął w żar, aż zapiszczało w płomieniu i zwrócił na mnie błyszczące oczka.

„Są paniczu ludzie — rzekł spokojnie, tylko głos mu dziwnie drżał — są paniczu ludzie, co pamiętają, jak jeszcze te wody, sięgały po plantowaną lenię. Ja tam tego nie pomnę, coś mi się mroczy we łbie, ale to tak jakbyś plewy z ziarnem pomięszał. Ale to i ja baczę, co trzy może stajonka od nas stał dwór, niby leśnictwo tego Majera a hań co to teraz przezywają „pasieki“ — chałupy były — niby wieś. Miałem ja wówczas dwadzieścia parę roków. Człek nie był taki pokraka jak teraz, co to i wodę omijaj, bo kiej się ujźrysz, to aż żałość za serce chwyta. Ano podleśnym mnie zrobili po śmierci starego Matysa. Polowali, było, na borsuki, dokopali się szczeniaków, matkę łopatą po łbie — kopyrtła się i leży. Matys nuże ruszać kciukiem po pysku a szturkać w niuch; za moje zimniaki, a masz, a naści. Aż tu, psia jej mać, jak nie upali! on w krzyk,... zbiegli się ludzie, przytłukli zwierza, ale palca nie było, odgryzła, mój paniczu, jak chlib na glanc. Okurzali, zamawiali, ręka puchła, położył się chłopisko, taj na Zielną poszedł do Pana Boga na robotę. Dali ci mnie buty, bom to i śwarny i przyręczny był, strzelbinę, kabsli, prochu, kulek i hulaj, — powiada Majer — w las. Hulałem ci ja paniczu, hej miły Boże, — jar nie jar, bór nie bór, mokradła, wszędziem był. Calutenieczki szmat ten złaziłem. Chałupinę dostałem po umrzyku, godną izbę, stodółkę, jak się patrzy. A była ci tu w Stojankach dziewczyna, ot taka latawica. Chodziłem ja do niej — kiej ona w las, zdybaliśwa się zawżdy. Aże tu, mój paniczku, przyszła zima okrutna. Wiatr, od komina nie odchodź. Zawaliło drogi, w borze zaspy, ni przekopać, czarcie wesele. Jak jęło kręcić, sypać śniegiem a drzeć, tom myślał, wydrze i rozwali te cztery ścianki. Dusza z człeka wychodziła. Takiej drugiej zimy to ja nie pamiętam. Nie wychodziło się z ciepłoty, ino tyle co z musu. Ano nie widziałem Jagnieszki bez całą oną zimę.

Przyszła wiosna, słoneczko Boże dogrzewać jęło, wiaterek, taki co to po kościach z lubości chodzi, osuszył krzewiny, las zakwitł, ptaszęta śpiewają, aż się rozlega, taj i ja wysztuderowałem się jak się patrzy i do wsi. Byłem godnie w kościele, wymodliłem się jak Bóg przykazał i myślę se trzeba zajrzeć do ludzi. A trzeba paniczowi wiedzieć, co drożynka prowadziła bez potok — idę — kładka leży a na kładce dziewucha. Patrzę — „Jaguś?! a cóż ty tu robisz dziewczyno!?“ „Ano czekam“. „Na mnie?“ pytam. „A ino“ — powiada -- „przyniosłam ci“,— powiada, — „naści, bo twoje!“ Chryste Panie, dziecisko!! „A wsciórności, psiakrew“ — ażem się zatrząsł. „A cóż to! Ty.... czy to ja wiem, że to moje, a tom ja ino do ciebie chodził. Poszła gadzino ze szczeniakiem, bo w wodę“. A ta nic ino cięgiem — „naści, bo to twoje“. Ja do niej: „zleź z kładki“ — ona swoje. Jak nie pchnę. Pokociła się z żyrdzi. Nie bardzo się ta i stłukła, bo w piasek rżnęła. Ja do chałupy, anim się obejrzał. Przyszła noc paniczu, niech ręka Boska broni — to ci te drzewa tak jęczały a szumiały — to mi się zdawało — ktoś puka a puka — ległem, ani rusz spać, poczęło świtać. Ja za strzelbinę, by w las... odparłem dźwirza — aż tu skwirczy coś przy progu. Kociak, nie kociak.... dziecko.... a zatracona dusza... złość we mnie zawrzała, bom ta był i żółciowy, myślę za nogi i o pniaka.... byłbym ją i uśmiercił, ino Bóg strzegł, potknąłem się i trzask łbem o węgieł. Oprzytomniałem. Dałem dziecko we wieś, powiadam: niech się chowa, wzięła gospodarska córka, przy swojem karmiła, ja tam trawy wziąść dał, krzaczyny trochę, ot jak się dało miły panie!...“

„A cóż matka“ spytałem, widząc, że stary pyka zawzięcie z zagasłej fajki.

Chłop wyjął z żaru węgielek, podniósł hełm dragona, wrzucił tliwo, przytkał a wypuszczając dym z rozmachem syknął przez zęby.

„Ano poszła, taj tyle o niej słychu“.

Zmilkł.

W oddali hen nad sadzonkami, gęstą, młodą knieją lśniło i migotało coś. To wieś. Po rosie biegło szczekanie psów, rżenie pasących się koni lub cicha śpiewka koniucha. Woda bulkotała. Czasem nad głowami rozległo się klaskanie lelka, szara plama przemknęła nizko dotykając się ziemi, by wzbić się w górę i zniknąć w ciemni ulszczek.

Nagle przeraźliwy skrzyp zmącił ciszę. Stary siadł w mgnieniu oka na mchu i począł żegnać gęstwinę.

Czułem, że robi mi się zimno, jakby tysiące szpilek kłuje mnie w krzyże.

„Skrzypi, skrzypi, ciągle skrzypi, tfu na psa urok“.

„Co mruczycie?“

„Nic, ot tak...“ tu oglądnął się jakby nie ufał tej posępnej głębi i przyciszonym głosem jął prawić.

„Paniczu, ludziska gadają, że kiej na wisielca kości liść lub gałąź spadnie, to piska a skrzypi, kiejbyś żelazem tarł o żelaziwo. Siędzie, powiadają, na jedlinie i płacze, a jak człowiek przechodzi to wabi „uduś, uduś“ a to tak paniczu cięgiem, cięgiem od czterdziestu będzie zim tak płacze w tym kawałku a tarmosi“.

„Tu się kto powiesił?“

„A ino panoczku, a ino; czterdzieści roków minie pewnie na jesień. Tu panie zły las, oj zły, tu samemu nie dobrze“.

„Et głupstwa, bajki i wy Jakóbie temu wierzycie?!“ — żachnąłem się.

Stary leśnik spojrzał na mnie, jak się patrzy na człowieka niespełna rozumu i rzekł z taką powagą, iż uczułem, że człowiek ten mówi z wiarą, ale z wiarą tak głęboką, iż żadne drwiny, tłómaczenie nie wstrząsną jego przekonaniem.

„Ja stary jestem, ja posiwiałem, nie od dziś na świat patrzę i gdyby ludzie to widzieli, co ja tu widziałem, nie mówiliby tak o tem, czego nie wiedzą. Tego paniczu nie wyczyta z książek, nie dowie się z gazet, z ludzkiego gadania, bo to jest tu“.

I powiódł suchą kościstą ręką nad jeziorem, w okrąg nad lasem, nad wsią i polami.

„To tu jest w ziemi, w borze, w wodzie, w powietrzu, w każdej trawce a stamtąd dopiero przechodzi tu“.

I uderzył się w zapadłą pierś!

(Dokończenie nastąpi).



POEZYE.

ECHO.

CHOPIN.

Wszystko na świecie znachodzi kres
nikt szczęścia nie schwycił za skrzydła
i każde z piór zdarte z boskiego mamidła
morzem okupić dotąd trzeba łez.
Ach wiem, co to w obce wywiezion być kraje
ach wiem co to wolność okuta w kajdany
i wiem, że jest głębia, co nigdy nie taje
i znam sen młody stargany.

Nie wiem, co szczęk bitwy wśród stepu kurhanów
co granie surm wśród mgieł niosących się w dal,
lecz znam skowyt bólu wśród weselnych tanów
i krzyk rybaka na bezmiarze fal.
I myślę, że jeślim jest z pod praw wyjęty
przez Stwórcę, bom szczęścia tu chciał
to w świata rzuciwszy spienione odmęty
jak klątwę, w pierś serce mi dał.

Otom raz jeden kochał, i kochanie
moje zostało hen, w ojczystej stronie
i szczęścia dla mnie brzask więcej nie wstanie
w blednących gwiazd koronie.

I oto w kraju palm wśród wiosny
konam, li pieśnią już żałosny
a choć się duch do życia rwie
wiem, że już moje zliczono dnie!

Morze u stóp klasztoru gra, kłębi się, płynie
na jego błękitnianej fali wzrok ja kładnę
i śledząc żaglu biel, aż hen w toni zginie
myślę, że kiedy ja umrę, to żadne
oczy nie będą ścigać mojej duszy
jak z pod błękitów tych do kraju ruszy.

25. października 1905.

J. L.

W SMUTNĄ GODZINĘ JESIENI.

W smutną godzinę jesieni, gdy zmierzchu fala napływa
W głąb mej komnaty i chłonie blask słońca i duszy blaski,
O przyjdź w otoku promieni, przejasna cudem swej łaski,
I połóż świetlane dłonie, na moje zbolałe skronie
Wiosno...

Jam cichy niedolą żywota i cichy wielką tęsknotą
Za łąk twych bujną zielenią i kwiatów płomieniem i wonią,
A oto wiatr mi łopota o szyby i deszcze dzwonią,
Ku szczęściu zaparte wrota i niema końca cierpieniom,
Wiosno...

Znużony, jestem i senny i ołów mi stopy ugniata —
Złym losem gnany wędrowiec, tułaczą przebiegłem drogę —
Lecz jeden twój uśmiech promienny, a wolę i siły wzmogę,
Ach! jeden twój uśmiech — o powiedz! — a pieśń ma rozszumi skrzydlata,
Wiosno...

Poranek mego dzieciństwa i radość mojej młodości,
W błękitnej trwają dali, w błękitnej trwają przeszłości —
I próżno tęsknią me oczy i próżno serce się żali,
Z błękitnej dali nie wnika muzyka powrotnej fali
Wiosno...

O przyjdź, w czar słońca zaklęta, z anielskich skrzydeł szelestem,
O przyjdź! i rozkrusz me pęta i bladość lic mych zarumień —
Bym moc rozprężył ku lotom nadzieją wezbrany strumień
I był jak zieleń kwitnąca z podłoża zbutwiałych trumien,
Wiosno...

W smutną godzinę jesieni, gdy zmierzchu fala napływa
W głąb mej komnaty i chłonie blask słońca i duszy blaski,
O przyjdź, w otoku promieni, przejasna, cudem swej łaski,
I połóż świetlane dłonie, na moje zbolałe skronie
Wiosno...

BEWUSKI.

KILKA SŁÓW O NASZEJ MUZYCE I MUZYKALNOŚCI - - -

(C. d). CZĘŚĆ DRUGA.

Z obecnego u nas, niezachwycającego stanu kultury muzycznej mógłby kto śmiało wywnioskować, że muzyka jako sztuka samoistna bardzo późno w porównaniu z innymi narodami do Polski przywędrowała, może dopiero w ostatnich stuleciach zyskała liczbę zwolenników, wystarczającą do skutecznego jej krzewienia wśród szerokich kół zajmujących się choćby ubocznie sztukami pięknemi. Któż wie, czy nie znajdzie się jaki bystry obserwator, który opierając się na fantastycznie ścisłych wywodach historycznych będzie głosił, że Polacy są narodem nawskróś niemuzykalnym, że na tajemnicze wrażenia słuchowe reagują na równi z cywilizowanemi zwierzętami, że mają dobrą rękę do oręża, a, broń Boże, do lutni, dalej, że nigdy muzyką się naprawdę nie zajmowali, bo zawsze obcej słuchali, albo ją przez cudzoziemców uprawiać pozwalali, że tylko pewne sfery, a więc nasze dwory wielkopańskie uważałyby tę najgłębszą sztukę za pewnego rodzaju *malum necessarium* towarzyskiego życia, a duchowieństwo za *conditio sine qua non* rytualnych ceremoniałów, Jednem słowem możemy dojść do „najświętszego przekonania", że muzyka nie ma u nas żadnej historyi, że ją można wprost ominąć przy studyach rodzimej kultury tylu wieków. Do tej smutnej konsekwencyi bardzo naturalnie prowadzi nas brak zupełnej pod tym względem informacyi, pouczenia w wieku przymusowej nauki, w wieku błogiej małoletności. W czasie studyów gimnazyalnych nikt nie może nas zapoznać z historyą muzyki polskiej, choćby ogólnie pojętą, jako cząstką całego życia umysłowego, a przecież

w literaturze polskiej ciągle czytamy o pieśni, o hymnach, psalmach, chórach i tym podobnych martwych wyrazach, genetycznie biorąc, ściśle muzycznych. Mimochodem tylko czytając Górnickiego, czy Kochanowskiego, dowiadujemy się o jakichś lutnistach i śpiewakach dworskich i o innych szczegółach z dziedziny kultury muzycznej. Kto zaś wiedziony już prostą belletrystyczną ciekawością łakomie połykał interesujące karty „Krzyżaków" Sienkiewicza między innemi pamięta o jakichś młodych dwórkach przygrywających na luteńce i przyśpiewujących ku uciesze wielkich pań i o jakichś tam rybałtach, czy żakach śpiewających nabożne i wesołe piosenki, a stanowiących drużynę podróżujących opatów. Jeśli zaś ktoś tak dalece sumienny był w wertowaniu dzieł literatury nadobnej, że przeczytał „Banitę" Kraszewskiego, dowiedział się ogromnie dużo biograficznych szczegółów o słynnym polskim kompozytorze i śpiewaku polskim 16. stulecia Długoraju Wojtaszku.

Tą drogą oczywiście można zebrać sporą ilość wiadomostek z przeszłości naszej muzyki, ale takie to wszystko będzie rozpierzchnięte, nieułożone, że zbałamuci z pewnością dobrą wolę czytającego, a z drugiej strony trudno znowu wymagać od obiecującego młodzieńca, przechodzącego przez gimnazyum, nadzwyczajnej pilności, albo wyrobionej zdolności dedukcyjnej. Krótko mówiąc to, co uzyskamy drogą przypadkowej obserwacyi i w owym czasie nie wystarcza zupełnie do tak zwanego ogólnego wykształcenia w dziedzinie polskiej kultury muzycznej. A uniwersytet? Ani we Lwowie, ani w Krakowie, Poznaniu i Warszawie nie mamy katedry muzycznej, nie mamy żadnego docenta poświęcającego się choćby w małej cząstce studyom muzycznym. Jakże teraz dziwnie brzmi przypomnienie, że Jagiellońska wszechnica w 16. i 17. stuleciu miała znakomitych teoretyków muzycznych na katedrach. Dziś z ogromną satysfakcyą szuka się po bibliotekach za pozostałemi dziełami takich znawców współczesnej harmonii i kontrapunktu, jak Sebastyan z Felsztyna, Jerzy Liban z Lignicy, Marcin Kromer z Biecza Aleksander Gorczyn, Diomedes Caton i wielu innych. Ludzie ci z wysoką erudycyą humanistyczną łączyli zamiłowanie i wysokie znawstwo zupełnie współczesnych zasad muzyki. Przejrzyjmy teraz wspaniale utwory Mikołaja Gomółki († 1609), Marcina Leopolity, Krzysztofa Borka, Wacława Szamotulskiego i Zieleńskiego a nauczymy się dokładnie cenić kulturę muzyczną „złotego wieku" literatury naszej. Obok „Trenów" mamy równie natchnione hymny i psalmy ówczesnych kompozytorów w formie prawdziwie artystycznej, niecodziennej. Taki Gomółka n. p. potrafił w 150 psalmów włożyć tyle natchnienia w użyciu harmonii

i prowadzeniu melodyi tak różnych, a jednakowo prostych i głębokich, że dziś z podziwem się składa hołd temu nadzwyczajnemu talentowi muzycznemu, który doskonale odczuwając piękność tekstu, odnalazł w sobie równie wzniosły odblask muzyczny. Zieleński znowu rozporządza zadziwiającą techniką w używaniu kontrapunktycznych kombinacyi w kompozycyach na 8 głosów ludzkich i instrumenty smyczkowe. Dodajmy do tego ciekawe „villanele" i „madrygały" takiego Długoraja, Bekwarka i Szymona z Piątka", o których wspominają zagraniczni historyografowie muzyczni, a będziemy mieli naszkicowany ogólnie obraz ówczesnego ruchu muzycznego i będziemy musieli przyznać, że stoimy wobec nieznanych sobie zupełnie stron życia naszej Polski, wobec rzeczy, o których wiemy tyle, co o tych dzwonach z niewiadomego kościoła. Ignorancya nasza ciekawy przybiera charakter, jeżeli przypadkiem ktoś obiecuje nam zaprodukować jaką starożytną, klasyczną kompozycyę, wtedy z pewnością zawołamy: „Oh! to musi być nudne!". Kto te wspaniałe utwory zna i dobrze odczuwa, dojdzie do przekonania, że 300 lat temu z górą, muzyka miała w Polsce bez porównania potężniejszych pionierów, niż dzisiaj w porównaniu z innymi narodami, bardziej że tak powiem współczesnych. Kiedy we Włoszech występuje Palestrina, żeby zreformować muzykę kościelną, w Polsce tacy, jak Gomółka i Szamotulski piszą wspaniałe hymny, pozbawione zupełnie charakteru świeckiego, a głębokie, natchnione — zupełnie niezależnie od wielkiego reformatora. A dziś? Iluż my to mamy ludzi z pretensyą do znawstwa, którzy nie mogą się jeszcze zdobyć na zrozumienie, (nie mówię już o zachwycaniu się) Wagnera, który bądź co bądź już wystarczająco dawno umarł, żeby mu zaczęto pomniki stawiać tak w kraju jak i za granicą.

Uzbrójmy się w nadziemską cierpliwość!

(Dokończenie nastąpi).

M. D.

IX. WYSTAWA „SZTUKI".

(Dokończenie).

Z młodych artystów na plan pierwszy portretami wybił się bezsprzecznie Weiss. Wlewa on w nie dziwny nastrój, owiany silną indywidualnością, tak w ujęciu formy, jak i barwy. Jak niezrównanie szlachetnie a dyskretnie związał on ten portret „podwójny", tchnący spokojnem szczęściem małżeńskim? Jak prosto, a artystycznie pojęty ten temat, od którego krok jeden do pornografii? Odmiennym, a równie szlachetnie odtworzonym nastrojem jest napojony portret „cellisty". Wszystko zaś utrzymane w ciepłym tonie złotej karnacyi, pod którem tętni życie, krew.

Jakby kontrastem są portrety J. Czajkowskiego, o zaniedbanym rysunku, pełne efekcików rwących całość, o zblakłym kolorycie, bez życia.

Lecz Sichulski natomiast stanowczo naprzód postąpił, w porównaniu do dotychczasowych swych prac. Więcej subtelności w rysunku i szczerości w kolorycie czuć w jego typach huculskich. Jest w nich więcej sobą, wyzwolony z obcych naleciałości, a to szczególnie w typie Nr. 53 i 35.

Między młodymi pejzażystami najwięcej maniery swego mistrza, a raczej wad jego posiada St. Czajkowski, zbyt monotonny w kolorycie, martwym i brudnym.

Natomiast Kamocki, jakkolwiek bardzo nierówny w barwie, pstry i niezbyt zharmonizowany, brudny niejednokrotnie, jest poprawny w rysunku. Niebo zupełnie nie wystudyowane, martwe.

Rosenblum „przekłębiony" w śniegu, w którym nie czuć materyi, a raczej watę lub śmietanę.

Zgoła zimnym, martwym, bez słońca i ciepła, choć dobrze rysowanym jest pejzaż Szczyglińskiego.

Jeden tylko, ale pełny zalet prawdy i szczerości w oddaniu przyrody, uderza nas pejsaż górski Filipkiewicza, a zwłaszcza stosowaniem barw i wybornym śniegiem.

Silnym i artystycznym zmysłem dekoracyjnym odznaczają się „wystrzyganki“ Frycza, efektownem zestawieniem plam barwnych i ujęciem formy.

Rzeźbę reprezentowały jedynie prace Szymanowskiego, obfite ilością i wartością. Jest on typowym przedstawicielem modernizmu w plastyce. Szczególnie pełne są jego dzieła linij miękich, elastycznych, niejednokrotnie trącące manierą, to znów cechuje je, rys monumentalny. Nie brak jednak w nich efektów czysto malarskich i widać dawnego artystę-malarza. Ma on w twórczości coś z Rodin'a i Menieur'a tak w treści jak i formie.

B. SZCZERSKI.

„NA SWOJSKĄ NUTĘ PIOSENKA"...

I odeszłaś tak odemnie bez słów pożegnania
pogrążywszy w zwątpień ciemnię,
że już z mego nic kochania,
że znów pójdę sam przez życie
i nie mając sił bić młotem
w świata męty, w lat rozkwicie
zginę gdzieś pod płotem. —

I odeszłaś tak odemnie....
sam zostałem... nie mam nic
z dawnych moich rojeń młodych,
prócz zoranych zmarszczką lic....
Hej! sny wszystkie potargane,
narzuciłaś na nie błotem
życie jak trzcina złamane
zginę gdzieś pod płotem....

Pomnę w marzeń mych przeźroczy
śniłem ująć świat na barki
I przed twe go ponieść oczy,
wykuć z bryły marę snów. —

Ach! lecz nić przecięły Parki
runął w bezdeń świata cios
ledwie dłutem napoczęty
rozbijając się na szczęty
jak mój los, jak mój los....
. . . .

Dutkem skręcił raz z wierzbiny
co nad wodny wzrosła wrzos,
by na szczęścia zaślubiny
wyśpiewała wszystkie sny....
Hej! zaledwiem dotknął usty
popłynęły z złomu łzy,
ton się wydarł dutce pusty
i w szumiący upadł wrzos,
jak mój los, jak mój los....

Aż raz przecie ulinilem
piszczałeczek nad ruczajem
i na światy rozdzwoniłem
pieśń swą jako duszny najem —
i rozgrały wszystkie echa
się wśród lasów, pól i gór...
... ojców moich dawna strzecha
malowany polski dwór....

Hej! wstawały z mroków cieśni
twarze swojskie nasze, nasze....
Hej! do wtóru mojej pieśni,
co jak orle mknęła ptaszę
wszystkie mary dawne lasze
rozpętały się z kurhanów
odwaliły trumny wieka,
i w świat słońca, lasów, łanów
przyszły do mnie pod cień smreka!

Wieńcem pany i hetmany,
króle, giermki, stan rycerny,
cały świat zaczarowany
jakby z bajki, a tak wierny,
żem go zdał się jeszcze wczora
jeszcze dziś znać, przed godziną...
... zewsząd, zewsząd, zewsząd płyną
po tym blasku od jeziora..!!
. . . .

Hej! grajże im fujareczko
piosnkę dusz ich nuć,
„uliniłem cię z wierzbiny,
gdzie ten ruczaj modro-siny —“
coś widziała, coś słyszała
rzuć im w piersi, w serce rzuć
pieśń ich marzeń nuć....
. . . .

„Jakże ci mam grać wesoło
jakże ci mam grać,
pani męża tu zabiła
nakreśliła nożem koło,
by kto przyjdzie pręcie rwać
a przestąpi nogą grób,
nie znał szczęścia jako ona
i z tęsknicą zawarł ślub...
i z tęsknicą zawarł ślub....“
. . . .

Wieńcem pany i hetmany —
stoją, każdy śni, coś marzy,
coś się ryje w każdej twarzy
jakiś dawny sen a znany. —

I po fali pieśń się snuje
w oczeretach mrze jej głos,
echo z boru gór wtóruje
to los, mój los, nasz los....

. . . .

„Jakże ci mam grać wspomnieniem,
jakże ci mam grać...
kiedy pod tych liści cieniem
siadł raz chłopak z bliskiej wioski,
co się w świat na bój miał brać —
chłopak młody nie znał troski,
step szeroki, wiatr przygarnie,
byle ino konik był
a nad głową orzeł lśnił....

I trza było ci chłopczyno
sięgać ręką złomu —
i trza było ci dziewczyno
tu się zbawić sromu,
ustaś dała, pokraśniała
przysłoniła lico
chłopak poszedł, tyś została
z duszą osmętnicą!
Chłopak poszedł hen i kula
życie mu wydarła,
tyś została lecz i ciebie
żałość w trumnę wparła. —
Dziś gdy miesiąc w trzcinę trąca
całuje promieniem,
tu przychodzisz i za cieniem
jego patrzysz drżąca,
a gdy gwiazdy już pobledną
maczasz w wodzie włos
i na dolę skarżysz biedną:
„to los, mój los, mój los!"

. . . .

A tu pękła dutka moja
zatonęła w toni,
wicher kędyś dźwięki łowi
i bór echem dzwoni. —

Wiem, każdego dola czeka
jednych dobra, innych zła,
mnie żem duszny jest kaleka
przeznaczeniem wieczna łza.

W końcu życia mej golgoty
w pierś ugodzon grotem,
jak ptak w zielska spadnę sploty
lub zginę pod płotem!...



Z TEATRU I KONCERTÓW.

„Jegomość pan Rej w Babinie“ Adolfa Nowaczyńskiego. „Betleem polskie“ Lucyana Rydla. „Rosmersholm“ Ibsena. „Skąpiec“ Moliere'a. Wieczorki gimnazyalne. Koncerty Zawiłowskiego i Heinemanna.

J e g o m o ś ć p a n R e j w B a b i n i e. Świecka krotochwila Adolfa Nowaczyńskiego to znów po „Pająku“ Zygmunta Kaweckiego drugie dzieło, co osiągnąwszy wprawdzie skutkiem samej osoby bohatera i stosunków społecznych większe, bo pięciokrotne na krakowskiej scenie wystawienie, zejdzie z afiszu, bez żalu i niekorzyści dla teatralnych bywalców. — Przedewszystkiem brak jej, jak wogóle dziełom scenicznym autora*) „Małpiego zwierciadła“, nerwu, tego nerwu co całość czyni zajmującą i porywa słuchacza. Mimo barwnego tła, staroświeckiego języka, postacie tam obracające się, nie wnoszą ani ciepła, ani humoru, a i życie, poruszanie się tłumów, wygląda na strasznie żmudną robotę autorską. Jeden Rej, mimo że trąci Falstafem i Zagłobą, o ile mówi własne utwory jest najznośniejszy, reszta naszkicowana słabo, bezdusznie, naciąganie. — Nie pomogło wprowadzenie Imci pana Filipa z konopi, którego skleił autor z dwóch części, jednej — zabytku przysłowia, drugiej — tradycyi dziś już zdaje mi się zwalonej, że

---

*) Wyjątek „Walc barona Mólskiego“ i „Circe Mańkowska“.

nieodłącznie od Kopernika, teoryę obrotu ziemi koło słońca głosił ów mistrz ceremonii babińskiej. — Na temat tego rozmaite tyrady, pro i contra mowy, nużą i przybijają słuchacza, sama zaś fabuła jest tak niezręcznie w akcyę wplątana, tak się miejscami gubi, jakby autor tracił myśl przewodnią, lub też tę ostatnią gwałtem naciągał do fabuły. Przedewszystkiem wprost niesmaczną jest wprowadzona niewiadomo po co i na co scena „Dyalog między panem wójtem i plebanem". Widocznie p. Nowaczyński pozazdrościł sławy Szekspirowskiemu dziełu „Sen nocy letniej" i to co tam było zręczną satyrą na starogrecką komedyę, naśladowaną przez spółczesnych Wiliamowi pseudo-autorów, to twórca „Skotopasków" zaszczepia na gruncie polskim ośmieszając Mikołaja z Nagłowic, któremu przecież należy się najwyższa cześć za dowód odwagi cywilnej, że nam wśród takich czasów i umysłów dał politycznie doskonały ówczesnych walk i dążeń kastowych obraz.

Jednem słowem autor doskonałych „Wczasów literackich", pisanych z werwą i zacięciem, wrażliwością cechującą Nowaczyńskiego, chybił zadaniu i napisał rzecz słabszą od „Dyabła łańcuckiego", bo tam doskonałym był przynajmniej akt IV., znakomitą kłótnia trzech matron polskich, a tu nie ma po prawdzie ani jednej sceny mogącej ująć widza.

Betleem Polskie. Natuławszy się po scenie ludowej weszło „Betleem" Rydla wreszcie na repertuar teatru Miejskiego, by na niem zostać atrakcyą dla małych i żądnych wypoczynku dużych widzów. Bezpretensyonalnie nakreślone dramatum to, ma doskonałe cechy szopki, nie zrywa z założeniem kościoła i podaniem o nocy Narodzenia Bożego, przeszczepia tylko fakt i miejscowość na grunt polski i koronuje Królowę Anielską, Panią korony polskiej, Obronicielką Jasnej Góry. — Cała zaś słaba strona utworu leży w wkraczaniu scen w łoże dramatu bez tegoż siły i grozy; należało się albo utrzymać na poziomie świetnie narysowanego aktu pierwszego i intermediów lub podnieść całość do wyżyny politycznej tragedyi a nie wahać się i balansować między jednem a drugiem. — Poza tem pozostanie utwór Lucyana Rydla jednym z tych, stale zapełniających widownię, obrazków mile słuchanych i na tle dekoracyjnym przyjemnie widzianych obok „Kopciuszka", „Szklannej góry", rozumie się mając ze względu na akt pierwszy i intermedia i ładny wiersz, większe literackie znaczenie....

Rosmersholm. Walkę dwóch duchów, zaciekłego konserwatyzmu, niemal obłędnie fanatycznego, z prądem głoszącym wolność

i równość, a na tle tego dramat dwojga dusz, Jana Rosmera i Rebeki West, oto podwalina na której, twórca ostatniemi czasy granego „Gabryela Borkmana“, zbudował silnymi rysami charakterystyki przemawiające i podbijające dzieło... Dramat z pierwszą chwilą podniesienia się kurtyny idzie już w całej pełni nie słabnąc, ale i rzadko napinając, podnosząc skalę. To genialność Ibsena. Dziś gdy dzieła autora „Rycerzy północy“ obiegły cały świat cywilizowany, gdy literaturę dramatyczną pchnęły na tory nowe, narzuciły się publice siłą i potęgą zamkniętych w nich myśli, korzymy się i my przed znakomitym psychologiem, zniewoleni nie jego tkwiącym tu i owdzie pesymizmem, ale tą żywotnością skandynawskiego bojownika Prawdy.

A przytem Ibsen nie zasklepia się sam w sobie, w swoim narodzie, horyzont myśli jego da rozciągnąć się na kulturę całej ludzkości, bo takiego Rektora gotowego, li tylko oparłszy się na podejrzeniu, zburzyć i zawalić gruzami przesądów ludzkich szczęście i spokój dawnego przyjaciela, serdecznie przywiązanego doń Rosmera za to, że odstąpił od wiary swych przodków i chce żyć pod wpływem Rebeki, jak człowiek wolny, człowiek czynu i nieść światło w tłum, znajdziemy w każdej warstwie narodów. Taką naturę słabą jak Jan Rosmer, niezdolną iść o własnych siłach do celu, ponieważ rodzi się w jego duszy zwątpienie w siebie na samym progu działania, spotkać można wszędzie, bez różnicy wyznań politycznych. — Ibsen zawsze porusza tezy, leżące w krwi całej ludzkości i wierny zasadzie, „duch wieczny rewolucyonista“ jest tem fatum, kładącym piętno na każdej jednostce człowieczeństwa, — snuje na tej kanwie szereg niespożytych tworów, będących skarbnicą i kopalnią nieprzebraną indywidualności, walki duszy z gniotącą ją powłoką, materyalizmem świata.

To co strąca Rosmera i Rebekę w otchłań młyńskiego potoku, — że odrodzenie mogą nieść tylko ludzie szczęśliwi i którzy osiągnęli je nie przez nieprawość i łzy, nie jest wprawdzie rzeczą nową, ale ujęte jest przez twórcę „Upiorów“ tak oryginalnie i z taką przeprowadzone prawdą, że zmusza nas do uderzenia czołem wobec jego głębi duchowej!

S k ą p i e c. Dawno w teatrze nie było takiego szczerego, niewymuszonego śmiechu, jak na owym nigdy nie starzejącym się „Skąpcu“. Idą lata, wieki, a typy Molierowskie prawdziwie psychologicznie schwycone, biorą prym, należne im laury. — Dziś niektóre sceny z powodu nowych prądów trącą starzyzną, nieprawdopodobieństwem, („godzenie się ojca i syna za po-

średnictwem dwuosobowego kucharza-stangreta") ale przyznać trzeba, że Moliere znał słabostki i ludzkie narowy jak mało kto. U nas Fredro ma czasem zacięcie charakterystyki autora „Świętoszka" ale nie ma jego finezyi i cieńkości w stwarzaniu poszczególnych postaci. Podobny Harpagonowi z założenia Łatka w „Dożywociu", traci przy bliższem porównaniu przedewszystkiem na sile komizmu i dramatyzmu. Taki Harpagon w scenie skradzenia mu skarbu stoi wprost na wyżynie dramatu, a przytem tak realnie, bez przesady — w co łatwo było popaść — jest skreślony, że wzbudza nie uśmiech dla słabości ludzkiej, ale wprost politowanie i grozę. Zakończenie znamionujące dyrektora teatru nadwornego, ten „deus ex machina" — rozwiązujący wszystko na korzyść dotąd pokrzywdzonej strony, wprawdzie najsłabsze, ale okupione jest powodzeniem i doskonałością prawie wszystkich poprzednich scen.

Z wieczorków gimnazyalno-realnych. Z całego szeregu wieczorków gimnazyalnych, na pierwszy plan nieudolnością i barbarzyńskiem wprost traktowaniem autorów wybiły się dwa widowiska. W pierwszym skroił jakiś „pan" tak niemożliwie „Irydiona" Zygmunta Krasińskiego i wtłoczył nieśmiertelne dzieło w koryto takiego melodramatu, że chwilami nie mogłem pojąć czy ci ludzie przypadkiem miast wieczoru ku czci trzech wieszczów, nie urządzają „ueberbretlu" ku ich pognębieniu. Oburzającem jest by młodzież mająca pretensyę do kulturności umysłowej, uczniowie klasy ósmej, pozwolili wychodzić swoim kolegom na scenę z ufryzowanymi włosami przy rzymskiej todze, pomijam już miotanie się Irydionka małego w zadużej dlań zbroi, w opadających go trykotach, ale wytknąć muszę wprowadzenie na scenę Metelli, kobiety, przez niezgrabnego interpretowanej chłopaka. W ten sposób traktując mistrzów słowa i myśli, wystawiamy sobie świadectwo takiego ubóstwa umysłowego, że nie dziwię się, że na wieczorze ku czci Adama urządzonym przez VII. kl. gimnazyum IV. było zaledwie 30 osób nie licząc profesorów. Tam uczczono wieszcza w więcej oryginalny sposób, bo biorący udział w „Konfederatach" popili się tak, że niejeden z trudnością utrzymywał się na nogach... a inscenizacya i reżyserya była tak znakomicie prowadzona, że z przyjemnością dowiedziałem się, iż przedstawieniem kierowały szkolnorosłe znakomitości; żaden artysta, choć dotąd uważa się ich za nieinteligentnych ludzi, do podobnego wystawienia „Irydiona" i „Konfederatów" by nie dopuścił.

Natomiast bardzo porządnie i z wielkim nakładem pracy ukazano licznie zebranej publiczności „Dziady“ i „Niedokończony poemat“ w gimnazyum św. Anny i Sobieskiego. Tu i tam na pierwszy plan wysunęło się zrozumienie poszczególnych postaci i o ile możności inteligentne tychże odtworzenie. Tak samo wieczorek I-szej realnej świadczył o budzeniu się tegoż zakładu z intelektualnego uśpienia i apatyi jakiejś wobec umysłowego ruchu, w którym niestety od paru lat jest pogrążony.

Zresztą autor „Szkolnych świateł i cieni“ poruszy jeszcze raz tę kwestyę, jako najbliżej środowiska młodzieży leżącą.

Es—be.

Koncerty K. Zawiłowskiego i A. Heinemanna. Z powodzi koncertów godne są zanotowania dwie bardzo ciekawe produkcye śpiewaków, którzy mogą się pochwalić równie wielką liczbą wielbicieli w Krakowie. Występy ich dotąd miały niezawodne powodzenie kasowe i moralne, obydwaj niezaprzeczenie sprawiają muzykalnym kołom prawdziwą biesiadę artystyczną, a przecież jak różnie działają na wyrobienie sobie opinii. Konrad Zawiłowski, Polak, początkujący utalentowany śpiewak, doktor filozofii i krakowianin imponuje nam bardzo sympatycznie muzykalnością, inteligencyą nieprzeciętną i zewnętrznymi warunkami a tem zaostrza naszą dumę narodową. Heinemann, berlińczyk, profesor śpiewu, drobna, nieprzystojna figurka, wchodząc na estradę, wzbudza chwilową nieufność. Od pierwszego jednak tonu, ogromnego, pełnego, zdrowego głosu, nieufność niknie, natomiast stopniowo zaczynamy się zachwycać pięknością głosu, wyborną techniką śpiewacką, wyrazistą a subtelną, bardzo czystą deklamacyą i przedewszystkiem bardzo widocznem przejęciem się, poprostu szczerością wykonywania pieśni.

Tego ostatniego właśnie brak naszemu rodakowi. U Zawiłowskiego każda fraza jest muzykalnie wyzyskana i deklamacyjnie w dobrym tonie podana, niebezmyślna, nieprzypadkowa, ale traktowana na zimno, rzucona z piedestału „skończonego“ artysty w tłum pokornych słuchaczów; podczas kiedy Heinemann śpiewając przed obcą mu publicznością na chwilę żyje tem, co śpiewa i oczy mu płoną szczerym ogniem i postać cała rośnie i twarz przed chwilą brzydka nabiera niebywałego uroku, jednem słowem cała zewnętrzność śpiewaka staje się bardzo sympatyczną, a tony wchodzą w głąb duszy słuchacza i dziwnie wstrząsają. Do Zawiłowskiego czujemy odrazu sympatyę, zanim usta otworzy, a następnie podziwiamy wytworność

deklamacyi i subtelne półuśmiechy lub tragiczne zmarszczenie brwi, a w końcu przebaczamy nawet bardzo naciągane efekty w dowolnej zmianie temp i charakteru kompozycyi dobrze znanych. („Jakże cię mam brać dziewczyno" Niewiadomskiego i ludowa piosenka Szopskiego).

(Bewuski).

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

PSEUDONIMOWI PEG.

Nowelkę pańską o fragmentach najbardziej twórczość Szan. Pana charakteryzujących podamy naszym czytelnikom do strawienia. Prosilibyśmy tylko o wyjaśnienie jednego zawiło przedstawiającego się nam zdania: „Ukazała się wystraszona twarz oficera i strach zwiał z niej dawny cyniczny wyraz; wyszedł z karety i chwiejnym krokiem zbliżył się do przeciwnika!“ Kto wyszedł strach czy oficer!? Przypomina nam to wielce oryginalny dwuwiersz p. Birmy Drubeckiego:

Brońcie żydzi swego prawa
bo i dla was rośnie trawa!!!

AUTOROWI „PAZIA“.

Za dużo sentymentalizmu i kokieteryi ku pocałunkowo-sielankowym nastrojom. Nie nowe... Prosimy o coś lepszego!

AUTOROWI NOWELKI „WICHER“.

Duży rozmach, ale... myślowa próżnia. Przybyszewskiego czuć na kilkadziesiąt kroków. Ani psychologii, ani rozwoju konsekwentnego w przeprowadzeniu charakterów, wszystko traci na lubowaniu się w tragicznych obrazach potokiem kreślonych słów bez wyrazistości i grozy. Pamiętaj Sz. pan aforyzm „gdzie niema idei, tam znajdzie się z pewnością kilkadziesiąt słów“. Pracuj pan umysłowo więcej i pisz prościej a szczerze.

OG–IM.

„Pożar“ w numerze trzecim, prosimy bardzo o więcej.

Prosimy o nadsyłanie rozpraw z dziedziny literatury oraz utworów bądź prozą, bądź wierszem do Redakcyi najpóźniej do 15. każdego miesiąca. Rękopisów nie zwraca się.

Z dniem 1. marca b. r. „Światowit“ wychodzić będzie pod naczelną redakcyą Dra **Lucyana Rydla.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA „ŚWIATOWITA“

przeniesioną została z dniem 30. stycznia 1906

na ulicę Szpitalną L. 7, II. piętro w Krakowie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Franciszek Pindor.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.